Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 10 zł

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV Łódź, 10 sierpnia 1947 r. Nr 31 (110)

Instytut Bałtycki
Wydział Biblioteczny
Bydgoszcz, Al. 1 Maja 48

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka

CW 9037

Tadeusz Orlewicz

Rolnictwo angielskie przed nowymi zadaniami

W Wielkiej Brytanii ogłoszono w lutym br. przedłożenie rządowe, dotyczące sytuacji ekonomicznej tego kraju i planów na najbliższą przyszłość. Jest to pierwszy etap wprowadzenia w życie gospodarcze Anglii — gospodarki planowej jako zasady. Wszelkie bowiem dane wskazują na to, że tylko sharmonizowana i jednolicie kierowana polityka może wyprowadzić ten kraj z nadmiernych i mnożących się trudności.

Oczywiście, że specyficzne warunki ustroju politycznego i gospodarczego narzuciły specjalny charakter pierwszej oficjalnej próbie planowania ekonomicznego w Anglili. Projekty te mają wszelkie cechy planowania w ustroju kapitalistycznym. Przedłożenie rządowe odnosi się krytycznie do planowania „totalitarnego", opartego na stosowaniu przez państwo ścisłej kontroli. Przedstawiciele rządu chętnie nazywają swój projekt próbą planowania „demokratycznego", natomiast angielskie koła ekonomiczne widzą w tym przedłożeniu tylko charakter — pobożnych życzeń (wishful thinkings). Trzeba zważyć bowiem, że nacjonalizacja w Anglii, bez względu na jej charakter i zasięg, oraz głębokie przemiany ustrojowo-gospodarcze na świecie, każą oceniać taki typ planowania jako typ zawodny na dłuższą metę.

Przegląd sytuacji gospodarczej W. Brytanii upoważnia rząd angielski do stwierdzenia, że rozporządzalne zasoby narodowe nie tylko nie mogą być uważane za wystarczające dla podniesienia stopy życiowej Anglika, ale w istocie z trudnością wystarczają na utrzymanie jej na dotychczasowym poziomie. Zagadnienie handlu zagranicznego dla W. Brytanii w najbliższym przynajmniej okresie jest sprawą bardzo trudną. Jeżeli bowiem rozwój eksportu nie spełni postawionych przed nim celów, to obok utrwalenia się systemu zaopatrzenia reglamentowanego, obywatelom brytyjskim grozić mogą nowe ograniczenia, a nawet i poważne bezrobocie, które może powstać, jeśli Anglia nie będzie miała na płacenie za import surowców i nie będzie w stanie przeprowadzić tak bardzo naglącej modernizacji urządzeń przemysłowych. Sprawę komplikuje i to, że obecny eksport angielski nastawiony jest na potrzeby krajów odbudowujących się. Z chwilą postępującej w tych krajach odbudowy, zwłaszcza na odcinku przemysłu pula eksportowa np. maszyn lub wyrobów tekstylnych będzie się kurczyć.

W związku z tymi problematami rząd angielski postawił sobie cztery główne zadania: 1) eksport w roku bieżącym musi być o 40% wyższy niż w roku 1938, 2) eksport ma być przede wszystkim usilnie zwiększony do półkuli zachodniej i do tych państw, z którymi Anglia ma ujemny bilans handlowy i 3) ma być przeprowadzona ostra kontrola importu, pochodzącego szczególnie z zachodniej półkuli. I wreszcie czwarte zadanie, nas w tej chwili najbardziej interesuje, to postawienie na rolnictwo, jako na czynnik, który w dużym stopniu powinien przyczynić się do złagodzenia trudności eksportowo-importowych W. Brytanii.

Jeszcze w pierwszej połowie 1945 roku Ministerstwo Wyżywienia i Rolnictwa poleciło przeprowadzenie badań, mających wykazać, w jakim stopniu rolnictwo angielskie może przyczynić się do zmniejszenia importu drogich artykułów żywnościowych, które mogłyby być produkowane w kraju w ilości odpowiedniej do potrzeb rynku wewnętrznego. Wyniki tych badań zostały ogłoszone w marcu rb pod tytułem: „Powojenny udział rolnictwa brytyjskiego w oszczędzaniu walut".

Autorzy tego przedłożenia rządowego przyjęli za podstawę lata: 1937—38, 1947—48 oraz 1950—51 i operowali w odniesieniu do tych lat liczbami wartości przedwojennej. W relacji obecnej należałoby więc zastosować mnożnik 65%-owy, aby uzyskać aktualne wysokości poszczególnych liczb.

Zgodnie z zasadniczym założeniem przy planowaniu rozmiarów produkcji rolniczej w latach wyżej podanych zwrócono szczególną uwagę na zwiększenie produkcji takich artykułów, które pociągają za sobą największe w imporcie wydatki. Chodzi tu przede wszystkim o inwentarz żywy i artykuły pochodne. Dążenia idą w dwóch jednocześnie kierunkach, a więc: 1) jak największy procent inwentarza żywego winien być w Anglii hodowany, a 2) zamiast sprowadzać gotowe artykuły pochodzenia zwierzęcego, importować z zagranicy paszę dla zapewnienia zwiększającemu się pogłowiu odpowiedniego pożywienia.

Przedłożenie rządowe oczekuje, że przez lepsze zużytkowanie pewnych artykułów, jak np. żyta, kartofli i ziarna na paszę dla bydła i trzody, będzie można zwiększyć produkcję mleka o 15% powyżej poziomu przedwojennego już w roku 1947, jak również uzyskać większe ilości mięsa, bekonu i jaj. W roku 1950/51 produkcja jarzyn i owoców będzie dużo większa niż przedwojenna. Tak samo w efektach powinny przedstawiać się zbiory żyta, kartofli i buraków cukrowych. W planach leży zwiększenie produkcji jęczmienia, używanego do warzenia piwa. W 1950/51 cyfrowo wzrost ma wyglądać następująco: Mleko o 25%, pogłowie bydlęce — o 12,5%, owce — o 7%, świnie i drób — o 50%.

Plan zamierzony wymaga przede wszystkim poważnych nakładów inwestycyjnych w rolnictwie, obliczanych na 250 milionów funtów szterlingów. Nadto liczba zatrudnionych w rolnictwie winna być powiększona o 5—10% w stosunku do stanu przedwojennego.

Przedłożenie rządowe poza tym zdaje sobie sprawę z tego, że powodzenie planu uzależnione jest od uruchomienia odpowiedniej puli dogodnego kredytu finansowego dla gospodarstw rolnych, od ustalenia priorytetu w budowie budynków gospodarskich, od zapewnienia odpowiednich stawek płacy dla robotników rolnych, od dobrze zorganizowanej kontroli nad kierunkiem i ilością produkcji rolniczej, a wreszcie od zapewnienia rolnikom stałego rynku zbytu dla ich produktów po korzystnych dla nich cenach.

Jeżeli te wszystkie warunki będą dopełnione, wówczas można przewidywać, że wartość produkcji rolnej będzie mogła być podniesiona o 60 milionów funtów szterl. w 1947/48, a o 79 milionów f. szt. w 1950/51 r. Kwoty te zostały obliczone wg cen przedwojennych, stąd też przyjmując 65%-owy wzrost cen otrzymamy odpowiednio kwoty 99 i 130 milionów f. szt. Ta zwyżka wartości angielskiej produkcji rolnej nie może być oczywiście w całości i bezkrytycznie zaliczona na oszczędności w wydatkach na import, sprawa ta bowiem zależna jest od zmian w poziomie konsumcji artykułów żywnościowych na rynku wewnętrznym.

W Anglii obserwuje się obecnie poważny wzrost siły nabywczej społeczeństwa. Sytuacja wygląda tam tak, że robotnik wielkobrytyjski nie może wydać obecnie zarobionych pieniędzy, aby podnieść własną stopę życiową, bo rynek krajowy nie daje mu odpowiednich po temu możliwości. Z chwilą więc usunięcia kontroli spożycia, przy zachowaniu obecnej polityki stabilizacji cen należy oczekiwać automatycznego niemal wzrostu poziomu konsumcji.

Omawiane przedłożenie nie przypuszcza, aby system racjonowania żywności funkcjonował przez jeszcze 4—5 lat. Dlatego też przewiduje się, że w r. 1950/51 nastąpi wzrost spożycia mleka i jarzyn, a dalej nieco mniejsza zwyżka w konsumcji mięsa, bekonów, serów, tłuszczów, cukru i owoców. Natomiast jakby dla zrównoważenia tego wzrostu, nastąpić powinien spadek spożycia mąki.

Mamy przed sobą tablicę, która informuje nas, jak wyglądała konsumcja artykułów rolnych, przeliczona w okresie tygodniowym na głowę ludności. Z zestawienia tego wynika, że struktura spożycia w W. Brytanii uległa w czasie wojny poważnym zmianom. W poporównaniu z przeciętną z lat 1934—1938 w roku 1944 spadło spożycie masła z 212,8 gramów do 67,2 gramów, mięsa z 1218 gramów do 1025 gramów, cukru z 837 gramów do 655 gramów, ryb z 213 gramów do 148 gramów itd. Natomiast wyraźnie zwyżkuje spożycie mąki i innych przetworów zbożowych (z 1867 g do 2148 g), kartofli (z 1512 g do 2548 g), jarzyn (z 1064 g do 1540 g)itp.

Wg przewidywań dla r. 1950/51 przeciętna spożycia ma w swej strukturze przywrócić stan z przed wojny z nieznacznymi tylko różnicami. Mleka ma być więcej (3,2 p. w latach 1934—38 i 5 p. w r. 1950/51), więcej będzie do spożycia sera, ryb, cukru, jarzyn, owoców świeżych i konserwowych. Na poziomie przedwojennym ma utrzymać się konsumcja masła, jaj, kartofli, owoców suszonych, kawy, herbaty i kakao. Natomiast przewiduje się spadek spożycia mąki i innych przetworów zbożowych (z 1867 g do 1783 g).

Te zmiany w strukturze spożycia pociągają za sobą oczywiście poważny wzrost wartości kalorycznej dostępnych do zakupu na rynku wewnętrznym artykułów spożywczych. Nie o to jednak nam w tej chwili chodzi. Przypomnijmy sobie, że za trzy lata — zgodnie z omawianym planem — wartość brytyjskiej produkcji rolniczej podniesie się o 130 milionów f. szt. Zgodnie z naszym zastrzeżeniem wypada stwierdzić, że można liczyć się ze wzrostem płac nieproporcjonalnie szybszym od wzrostu cen na artykuły spożywcze, że uda się Anglii przeprowadzić zasadę pełnego zatrudnienia, że nowy system ubezpieczeń społecznych będzie miał wyraźnie dodatni wpływ na kształtowanie się przyrostu naturalnego. Wówczas możemy być świadkami takiego zjawiska, że potencjalne zapotrzebowanie rynku wewnętrznego W. Brytanii na żywność nie tylko pochłonie cały wzrost produkcji rolniczej, ale przez odpowiedni wzrost konsumcji może go przewyższyć.

Bez kontroli spożycia oszczędność w wydatkach na import może okazać się pozycją zerową. Gdyby utrzymano w Anglii kontrolę importu i takie racjonowanie żywności, które utrzymałoby poziom konsumcji na poziomie lat wojennych, wówczas można byłoby mówić o zaoszczędzeniu około 191 milionów f. szt. Jeżeli te warunki nie będą zrealizowane, wówczas wydatki na import żywności zwiększą się o około 80 milionów f. szt. chyba, że wzrost produkcji rolniczej pozwoli na pokrycie dodatkowe nowych 80 milionów f. szt.

Jak z tych szkicowych uwag wynika, główny punkt ciężkości w polityce rolnej W. Brytanii spoczywa w przestawieniu produkcji rolniczej na produkcję hodowlaną, która pozwoli na poczynienie poważnych oszczędności w wydatkach na import mięsa, przetworów mięsnych i nabiału. Są to artykuły najdroższe z artykułów żywnościowych w W. Brytanii. W roku 1938 Anglia importowała mięsa i nabiału na łączną sumę 170,793.979 f szt. Produkcja krajowa tych artykułów oceniana była na 202,819.000 f. szt., a zatym ogólna wartość wewnętrznego spożycia nabiału i mięsa wynosiła razem 373.602.959 f. szt. W przewidywanej w roku 1950/51 produkcji ocenia się wartość wyprodukowanego w W. Brytanii mięsa i nabiału na 255.874.000 f szt. W czasie wojny produkcja tych artykułów spadła o 36.000.000 f. szt., głównie z uwagi na olbrzymi spadek importu paszy. W roku 1950/51 import paszy ma osiągnąć poziom przedwojenny, co pomoże do postawienia hodowli na właściwym poziomie.

Obok skierowania dużego wysiłku na rozbudowę produkcji hodowlanej dużą wagę sfery rządowe W. Brytanii przywiązują do wzrostu produkcji jarzyn i owoców. Wg oświadczenia Ministra Rolnictwa, będą poczynione wszelkie starania, aby umożliwić robotnikom rolnym osiedlanie się na roli i zakładanie małych gospodarstw ogrodniczo-warzywnych. Takie posunięcie ma, zdaniem rządu wielkobrytyjskiego, zapewnić wzrost produkcji na odcinku warzyw i owoców.

Anna Kamieńska

PISARZOM JADĄCYM NA ŚLĄSK

Z twych okien zapóźniony z piórem do świtu
widzisz, jak krowy wychodzą z bramy gimnazjum
i idą przez rzekę kładąc brzuchy na wodzie;
turkoce wesoło wóz po żniwo, mija dorożkę pijanych spekulantów,
a w rozdarciu chmur dzwonek z klasztoru
budzi płacz dziecka.

Łatwy pejzaż. Innego narzędzia nie potrzebuje do wzruszeń
prócz ciała znużonego przed kąpielą,
gdy ciężko przesuwa się tłok serca,
a ręka jeszcze pisząca rozgrzebuje to samo dno snu,
w którym i ciało mojego profesora tleje w ziemi.

Tymczasem maszyny doskonałe do entuzjazmu
ze stali, nerwy z kryształu, elektryczny huk
ci się przyśni, gdy ponad chrzęstem gazet
porwie cię pociąg na Śląsk. Wymiń nim gwiazdę,
o którą wsparliśmy mowę z wieczora.

Dzień zażąda od ciebie języka, w którym stanie
przed rozumem zbudzonego więcej — prócz mgieł od rzeki
Tak Egipcjanin patrzy z nad żaren,
jak pod domy Norymbergi zarosłe fiołkami
płynie chłodnia — okręt z Ameryki
z blaszankami mięsa dla zbrodniarzy,
z puszkami mrozu ze spadania gwiazd i katedr.

Aby zdrowe, mądrzejsze coraz rosło u stóp gimnazjum,
gdzie begonie sadzili chłopcy i stoi niezamieszkały pomnik,
trzeba z węgla śląskiego, z książek, nawet z wyznań miłosnych
kiść przęsła mostów nad państwami Europy.

Nie samotny. Patrz, gdy piszesz — trudem szczęście mierząc —
na wsi nauczyciel pomaga — wraca ze szkoły.
W domu książka otwarta na stronie...
pachnie nafta. Godziny biegły i tutaj,
podczas gdy rysował na tablicy dzieciom żarówkę
rozpiętą w przekroju jak owad.
Nauczyciel ściera z lampy kopeć,
— tu jeszcze drut nie zdążył z iskrą po szosie —
otwiera szafę i wyjmuje chleb, którego braknie
dziś w Paryżu i w Chinach. Posil się
i ty pięknem kraju, bo dojeżdżasz już. Śląsk.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO

Ogólnie można stwierdzić, że widać wyraźnie dążenie skierowania rolnictwa angielskiego na rodzaj produkcji, który może wytrzymać konkurencję z cenami artykułów sprowadzanych z zagranicy i dla którego miejscowe warunki glebowe i atmosferyczne są właściwe. W Anglii produkcja zbóż nie ma szans na opłacalność finansową. Gatunkowo również nie może być podniesiona na szczególnie wysoki poziom. Inaczej rzecz przedstawia się z mięsem i przetworami mięsnymi oraz warzywami. Tutaj różnice między cenami w kraju i zagranicą nie są wielkie i mogą być łatwo wyrównane odpowiednią polityką taryfową, która zapewni producentom rolnym korzystne ceny i stały rynek zbytu.

Wg doniesień prasy rolnicy angielscy twierdzą, że wobec wyjątkowych i naglących potrzeb chwili konieczne jest przedsięwzięcie specjalnych środków w okresie najbliższego półtora roku. Aby powetować straty, wywołane warunkami atmosferycznymi, w pieniądzach, zbiorach i inwentarzu, aby dać krajowi odpowiednią do zapotrzebowania ilość artykułów spożywczych, trzeba dążyć do znacznego zwiększenia wartości produkcji rolnej.

Rolnicy angielscy zdają sobie sprawę z tego, że dla zapewnienia wzrostu produkcji żywności, inwentarza i paszy dla bydła, należy zarzucić przestarzałe formy gospodarowania na roli i wprzęgnąć do pracy wszelkie zdobycze techniki, wiedzy i doświadczenia.

Plany uchwalone zmierzają do tego, aby oszacowane zostały minimalne ilości zbiorów zasadniczych płodów rolniczych, takie ilości, które będą niezbędne Anglii dla zaspokojenia potrzeb rynku wewnętrznego w okresie najbliższych lat 5. Główny nacisk położono na produkcję hodowlaną. Dlatego też widzimy między uchwałami wniosek o zwiększenie uprawy roślin bogatych w białko na paszę dla inwentarza oraz wniosek o zatrzymywanie przez rolników określonej ilości ziarna na żywienie inwentarza, aby można było powiększyć dostawy w mięsie, jajach i tłuszczach zwierzęcych do miast.

Rolnictwo angielskie przewiduje, że w roku 1947 wydać powinno na mechanizację rolnictwa około 40 milionów funtów szterlingów, stąd też apeluje do rządu i do producentów maszyn rolniczych, aby ograniczyli eksport tych maszyn, a skierowali znakomitą większość produkcji na użytek wewnętrzny. Jak olbrzymie są potrzeby rolnictwa angielskiego w tej mierze, to ilustruje fakt, że otrzymali oni 75% całej zeszłorocznej produkcji maszyn rolniczych, a wartość maszyn zakupionych była trzy razy większa niż wartość zakupu przedwojennego. Mimo tego braki są jeszcze bardzo poważne i nie dadzą się wyrównać szybko. Obok mechanizacji rolnictwa projektuje się wszechstronną przebudowę istniejących budynków gospodarskich.

Oto niektóre z elementów, które ma do rozwiązania rolnictwo wielkobrytyjskie. Sytuacja jego jest dosyć skomplikowana, jak skomplikowaną jest sytuacja międzynarodowa Anglii na odcinku gospodarczym. Sprawa polega na tym, że wzajemne oddziaływanie i wzajemna zależność miasta i wsi w najszerszym tego znaczeniu staje się obecnie naczelnym problematem wielu państw. Przykładem jest W. Brytania, która w rolnictwie widzi ratunek dla chwiejnego swego bilansu handlowego. Warto jednak pamiętać, że niemal każda próba tego rodzaju w ustroju kapitalistycznym, jakim jest nadal ustrój w Anglii, skazana byłaby na niepowodzenie w warunkach panowania wielkich posiadaczy ziemskich, gdyby nie dyscyplina społeczna i karność obywatelska Anglików, godna podziwu i naśladowania, zwłaszcza dla krajów, w których koncepcje gospodarcze opierają się na ludowładztwie i na gospodarczym planowaniu ludowym.

Tadeusz Orlewicz

Andrzej Skupień-Florek

PODHALE NA PRZEŁOMIE WIEKÓW*)

KARCZMA

Sprawującym władzę w powiecie Nowotarskim w tych czasach był starosta Gieperth — Austriak. Służba w wojsku od czasu 3-go wójta trwała już tylko 3 lata. Część ludności, uciekając przed nią emigrowała zagranicę, nie wyłączając Ameryki. Po tych „reformach" dwór stracił na swoim znaczeniu, a do prac na swoich dobrach musiał ludzi wynajmować za uiszczeniem gotówki, a z czasem posiadane w Białym Dunajcu karczmy i młyn sprzedał. Młyn kupił włościanin Para rodem z Bukowiny, którego rodzina odtąd zamieszkała tutaj. Karczmę w dolnej części Białego Dunajca — na roli Buzkowej kupił Goldmann — żyd a w górnej części na roli Stachowcowej — Szlachet — żyd.

Obok tych karczem, powstały jeszcze dwie inne karczmy, pierwsza, którą na dole u Chudego na parceli kupionej od włościanina Skupnia zw. „Grzychem" postawił żyd Siermann, druga w górnej części koło mostu u Cudzicha na ofiarowanym przez Szymona Dzierzęgę — „Mysiora" skrawku kamieńca, postawił żyd Kempiler, przybyły z Gronkowa.

W kilka lat później, dwie pierwsze karczmy z czasów Rychterskich wykupione przez Gaidmana i Szlacheta, przeszły przez wykupienie od nich na własność miejscowych włościan. Zaś „gospoda" Kempilera spłonęła przez podpalenie, a właściciel opuszczając wieś ustąpił plac innemu żydowi — Markusowi Wachsbergerrowi, który w tymże miejscu postawił nową karczmę. Mając we wsi tyle szynków, ludność rozpiła się w okropny sposób, tak, że karczmy nie mogły już jej pomieścić, to też ludność urządzała sobie w gospodarskich domach na ten cel upatrzonych, t. zw. „Bursy", gdzie gromadnie pito różne napoje i przy byle muzyce tańczono, i awanturowano się całymi nocami. Duchowieństwo było bezsilne. Sprowadzono Ks. Jezuitów urządzając Misje św., które odbyły się i w Poroninie. Misjonarze grzmiącymi głosy wzywali, błagali i zaklinali ludność, aby się poprawili, bo „straszna ich kara Boska czeka", prośby i groźby były ponoć tak straszliwe, że ludność ogarniał paniczny strach i płacz — ale poprawy wiele nie było. Dopiero następny rok był okazją do poprawy z powodu ogromnej klęski nieurodzaju na skutek mroźnego roku, jaki nawiedził Podhale, tak że posiane owsy wprawdzie powschodziły, ale do wykłosienia nie doszło, to też wszyscy gospodarze razem namłócili zaledwie 18 korcy owsa, ziemniaki liche urosły, a do tego prawie w ziemi zgniły nie kopane i stąd zapanował głód. Ludność mając na pamięci misjonarzy i ich groźby, zapowiedź „kary Bożej", robiła wielki lament i wyrzekanie na owych misjonarzy, że to oni spowodowali tę karę swoimi prośbami na ich opamiętanie. Takich lat nieurodzaju ówcześni Podhalanie przeżywali więcej — następowały one kolejno po sobie.

POWIETRZE

W roku 1873 dnia 1 września wybuchła straszna choroba — cholera i trwała do połowy tego miesiąca, i prawie w każdej wsi zbierała ofiary. Doktór Tytus Chałubiński z Warszawy, i dr Urbanowicz ze Żmudzi, będący tu podówczas, z całym poświęceniem nieśli pomoc ludności.

W Białym Dunajcu cholera spowodowała 13 ofiar śmiertelnych, które pochowano we wspólnym grobie we wsi na roli Bałosowej, a krzyż postawiony na owej wspólnej mogile świadczy po dzień dzisiejszy o tej strasznej zarazie, jaka tutaj istniała. Ludność w czasie tej zarazy izolowała się, nie opuszczając swoich domostw, a pomoc nawiedzonym tą zarazą w tej wsi niósł miejscowy chłop Jan Sikora „Cibiorz", wielki pijak który chorych leczył według rad dr Chałubińskiego z Zakopanego, oraz zmarłych układał w trumnach, odwoził i grzebał. Sam jednak tej zarazy nie nabawił się mimo, że z zarażonymi miał do czynienia. Odporność tę przypisywano wódce, którą codzień pił w sporej ilości, oraz czosnkowi, jaki spożywał.

NOWINY.

Po okresach klęsk nastąpiło pewne uspokojenie i poprawa ludności — nastąpiły też i lata lepszego urodzaju. Szkoły parafialne skupiały coraz większą ilość uczących się, powstała też szkoła także i w Poroninie, gdzie większość Dunajczan zdążała z racji krótszej drogi. Polskie organizacje oświatowe, spółdzielcze i polityczne coraz śmielej i szerzej rozwijały swoją działalność uświadamiając lud, co było przez młodszych życzliwie przyjmowane, natomiast starsi do sprawy polskiej mieli uprzedzenie, łącząc ją ze sprawą szlachty, której bardzo się bali, by z przywróceniem Polski znowu nie objęła w swe ręce rządów, i nie narzuciła ludowi pańszczyźnianego jarzma.

Ideowymi działaczami chłopskimi jacy tutaj najczęściej zaglądali, byli Wincenty Witos i Bernadzikowski, którzy w osobie ks. W. Roszka, proboszcza w Poroninie znaleźli gorliwego krzewiciela sprawy polsko-ludowej. Pierwszymi pismami, jakie tutaj docierały do chłopskich rąk były: „Przyjaciel Ludu" i „Wieniec i Pszczółka". W roku 1884 galicyjska c. k. rada szkolna krajowa zorganizowała w Białym Dunajcu filialną szkołę, która mieściła się w domu prywatnym. W roku 1889 przystąpiono do budowy własnego budynku szkolnego na środku tej części wsi, która należała do parafii Szaflary. W roku 1892 stanął murowany budynek, w którym i obecnie odbywa się nauka. W międzyczasie powstała myśl postawienia we wsi kaplicy, w której co jakiś czas odbywałoby się nabożeństwo choćby dla starców, i kiedy w roku 1899 wizytował parafię Szaflarską ks. Kardynał Kniaź Jan Puzyna — biskup krakowski, udała się do niego delegacja w tej sprawie, co przez ks. Kardynała zostało przyjęte z przychylnością, i odtąd myśl postawienia kaplicy żywo zaprzątnęła umysły wszystkich.

W następnym roku 1900 zaistniała sprawa o wielkim znaczeniu dla przyszłości Podhala a która w straszliwy sposób zaniepokoiła Białodunajczan. Była to sprawa budowy linii kolejowej Chabówka — Zakopane a w związku z tym zabieranie gruntów pod tę linię. Białodunajczanie stawiali silny opór, mimo, że zajęcie dokonywało się za wykupnem. Sprzeciwy ich jednak nie mogły być uwzględnione, a kiedy pociąg ukazał się poraz pierwszy, to ludność z przerażeniem oglądała ów „cud" mówiąc na podstawie czytanych proroctw królowej Saby, że w tym „ognistym piecu" jeździ antychryst — i że niedługo będzie koniec świata. Z czasem oswoili się z tym „ognistym piecem" doznając skutków jego dobrodziejstw, gdyż odtąd datuje się postęp i poprawa gospodarcza Podhalan ze względu na dowóz środków żywności i nawozów sztucznych. Z czasem zaczęli przyjeżdżać coraz liczniej goście - letnicy, którzy zawsze nieco przywiezionego grosza tutaj zostawili. Między innymi letnikami w r. 1914 zamieszkali u Sobestiana Skupnia znamienni goście: Lenin i Trocki, których z chwilą wybuchu wojny poszukiwała żandarmeria austriacka — lecz już za późno.

SZKOŁA I KAPLICA

W roku 1910 wieś buduje w swej górnej części drugi budynek szkolny, co świadczy o dużym zrozumieniu potrzeby nauki, zresztą Białodunajczanie od dawna mieli ambicję uczenia się: by „wyjść" na ludzi, skoro mieli już sporą ilość swoich synów na różnych stanowiskach w kraju, począwszy od Stanisława Pawlikowskiego posła do parlamentu austriackiego, aż do czasów dzisiejszych i tak. ks. Arcybiskup Ferdynand Pawlikowski, Ks. Kajetan Pawlikowski, ks. proboszcz z Limanowej, Ks. Jan Stachowiec, b. proboszcz w Tyńcu, Ks. Jan Para który pracuje w jednym z ośrodków robotniczych w Polsce, Tomasz Buła, który był proboszczem gimnazjum w Nowym Targu, Andrzej Galica generał W. P. b. dowódca Dywizji Pułków Podhalańskich, Franciszek Skupień major W. P.; Jan Gałdyn, Insp. Izby Skarbowej, Inż. Paweł Cudzik geometra, Jakub Buła Insp. nadleśniczy w Toruniu, Wład. Stachowiec b. sędzia, obecnie adwokat, A. Cachro nacz. Urzędu pocztowego, Fr. Dańko, urzędnik, Helena Zachemska z Parów, Anna Biegańska z Bułów, Józefa Polakówna, Helena Bułówna, nauczycielki. W roku 1912 udaje się delegacja Białodunajczan do Księdza Biskupa Sapiehy, który odbywał wizytację parafii Szaflarskiej, przedstawiając mu sprawę budowy kaplicy. Książę Biskup żywo interesuje się tą sprawą, ogląda na miejscu plac pod budowę — chwali zamiary i błogosławi. Od tej chwili przystąpiono do realizacji planów gromadząc potrzebny materiał. Niestety wybuchła wojna, niweczące wszelkie plany.

WOJNA.

Przed wybuchem wojny była tutaj zorganizowana polska organizacja wojskowa pod nazwą „Drużyn Podhalańskich" do której należało kilkudziesięcu chłopców w wieku przedpoborowym, z których 8-miu ochotniczo walczyło w szeregach legionów o niepodległość Polski. Wojna ta w porównaniu z ostatnią nie wyrządziła dużych szkód, najdotkliwszym był pobór mężczyzn do wojska, we wsi pozostali starcy i kalecy a kobiety same musiały wykonywać pracę za mężczyzn w domu i na roli, której nie umiały i nie mogły uprawiać jak należy, skutkiem czego gospodarstwa upadały. Do tego był brak koni, które również zabierano, natomiast resztce bydła jak krowom i owcom dawali Austriacy spokój, tak, że poza jednym jedynym spędem bydła, na który doprowadzono 7 sztuk, — więcej za cały okres tej wojny nie wzięto. Podobnie było z sypką owsa. Znaczniejszych oddziałów wojsk, ani też przemarszów tutaj nie było, natomiast kilka razy kwaterowali we wsi w dużych ilościach uchodźcy ze wschodnich terenów, gospodarze, których przywożono koleją wraz z posiadanym dobytkiem a nawet przyjeżdżali własnymi furmankami prowadząc za sobą krowy. Byli oni prawdziwą plagą wsi, ponieważ cudza własność tak w domu jak i w polu, nie była dla nich „świętą", a brak we wsi mężczyzn bardzo ich ośmielał. Należało też być czujnym wobec jeńców, jacy tutaj byli na robotach we dworze p. Uznańskiego w Poroninie, którzy wałęsali się samopas po wioskach za żywnością. Skutkiem tej wojny kilku mężczyzn Białodunajczan na zawsze nie powróciło do swoich domów.

W roku 1918 a nawet i 1917 coraz liczniej zaczęli się pojawiać w swoich domach młodzi żołnierze, często nawet z bronią, rzekomo na urlop, a w rzeczywistości byli to dezerterzy, mający już dosyć wojny. Musieli oni jeszcze jakiś czas ukrywać się, gdyż byli poszukiwani przez specjalne patrole wojskowe, ale w niedługim czasie ustało owe poszukiwanie na skutek zakończenia wojny, z której Polska zmartwychwstała by żyć. Odtąd widywaliśmy często przemaszerowujące lub kwaterujące we wsi Polskie Wojsko. Widywaliśmy polskich żołnierzy w austriackich mundurach, którzy zamiast „bączków" z inicjałami F. J. I, na czapkach, mieli polskie orzełki, lub biało czerwone kokardki. Byli też i młodzi, szare żołnierzyki w „maciejówkach", a nawet starsze wąsate chłopy w błękitnych mundurach gen. Hallera. Były jeszcze potem momenty smutne dla zmartwychwstałej Ojczyzny jak i dla nas, ale wypadki te potoczyły się szybkim biegiem przynosząc spokój i normalizację stosunków.

KAPLICA I SZKOŁA

Teraz już Białodunajczanie w wolnej Ojczyźnie realizują swoje plany budowania kaplicy, tak że w roku 1921 Ks. kan. Maurycy Rottermund proboszcz z Szaflar dokonał poświęcenia kamienia węgielnego i rozpoczęto budowę na placu, który ofiarowali bezpłatnie dwaj bracia Łukaszczykowie - Kociowie. Budowa postępowała w sposób zadziwiający, dzięki wysiłkom wszystkich obywateli pod przewodem dzielnego komitetu w składzie Fr. Cudzicha „Kleofasa", Stan. Cudzicha „Bacy", Fr. Pary, Jędrzeja Matygi „Łukasza" i Józ. Ślimaka. Najgorliwszymi apostołami tej sprawy byli Fr. Cudzich i Jędrzej Matyga, którzy

*) „Wieś" 23 (102), 26 (105), 27—28 (106—107).

PODZIĘKOWANIE

Redakcja tygodnika społeczno - literackiego „Wieś" składa na tym miejscu serdeczne podziękowanie Wydawnictwu Eugeniusza Kuthana w Warszawie za ofiarowanie 30 egzemplarzy swych wydawnictw dla Pisarzy chłopskich — uczestników Zjazdu w Rytwianach (30.VI — 6.VII br.).

Podnosimy z uznaniem obywatelskie stanowisko Wydawnictwa zapewniając, że otrzymane książki spełnią swą funkcję społeczną wśród Pisarzy Chłopskich.

W OSTATNIM 30 (109) NUMERZE „WSI" z dnia 3 sierpnia 1947 r.

Maurycy Jaroszyński — Reforma wyższego szkolnictwa; **Zbigniew Krawczykowski** — Bitwa o chleb; **Piotr Ożarowski** — „Przegląd Traktorowy"; **Bronisław Mazur** — Pojednanie z ziemią (wiersz); **M. Borodko** (S. I. B.) Współpraca stacji naszynowo - traktorowych z gospodarstwami rolnymi w ZSRR; **Tadeusz Orlewicz** — W obliczu nowych zbiorów; **Zdzisław Skwarczyński** — Chłop i sprawa chłopska w powieści XVIII wieku; **Józef A. Frasik** — Dzień, który mija (wiersz); **Henryk Syska** — „Jarzmo" Kłosowskiego; **Józef Pogan** — Służba Stasi (nowela); **Stanisław Jucha** — Szkic dziejów szkoły rolniczej w Czernichowie — Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Łodzi; 13 ilustracji — Sprostowania — Ogłoszenia — Komunikaty — Książki nadesłane. 8 stron.

Redakcja Tygodnika „WIEŚ" ogłasza konkurs otwarty na

REPORTAŻ Z ZIEM ODZYSKANYCH

Grupa pisarzy chłopskich i rysowników w osobach: Leonard Sobierajski, Tadeusz Chróścielewski, Bronisław Mazur, Władysław Leszczyński, Czesław Schabowski, Stefan Gierowski i Jadwiga Berdzikówna, udaje się w miesiącu sierpniu na Śląsk po materiał faktyczny do wielkiego cyklu reportaży z życia gospodarczego. Protektorat nad tą akcją objęło Ministerstwo Przemysłu i Handlu w osobie — Wicemistra Eugeniusza Szyra.

Najlepsze repartaże konkursowe ogłoszone zostaną w zbiorowych wydawnictwach książkowych. Znaczenie akcji reportażowej Tygodnika „Wieś" leży nie tylko w zebraniu cennego materiału wiedzy o odbudowującej się Polsce. Tworzy się nowy typ literatury, nowa metoda zbiorowej i planowej pracy pisarskiej. Pisarze chłopscy zwracając się do zagadnień przemysłowych dokumentują tym zrozumienie potrzeb gospodarczych państwa dotychczas rolniczego, widzenie właściwych proporcji spraw w ramach państwowego życia.

W liście do Redakcji otrzymanym z Ministerstwa Przemysłu i Handlu — czytamy:

„Ministerstwo Przemysłu i Handlu w osobie Ob. Wiceministra E. Szyra całkowicie stosunek Młodej Literatury Wiejskiej do rodzimego przemysłu popiera"...

nieustannie kwestowali po wiosce zbierając ofiary na budowę już nie kaplicy, ale kościoła. Dlatego też ludność nazwała ich apostołami — Cudzicha „Kleofasem" i Matygę „Łukaszem" — nazwy te pozostały do dziś, jako ich oficjalne przydomki. W roku 1922 na podstawie polskiego prawa wyborczego do samorządu, odbyły się we wsi wybory na radnych w których biorą udział i kobiety na równi z mężczyznami, tworząc czwarte koło wyborcze, do którego należeli i młodzi uprawnieni mężczyźni nie będący samodzielnymi gospodarzami. Biały Dunajec miał prawo do wybrania już nie 18 ale 24 radnych. Pierwszym wójtem po latach niewoli został wybrany młody gospodarz-maturzysta Ludwik Cudzich „Baców". Po pięcioletnim jego urzędowaniu władza zwierzchnia przechodzi w ręce Wincentego Majerzyka, który był wójtem do końca istnienia gmin jednostkowych tj. do 1935 roku.

W międzyczasie powstaje w Białym Dunajcu większa fabryka tektury drzewnej, której budowę zapoczątkowali w r. 1925 p. inż. Czajewski i p. Ordońska z Krakowa, którzy wykupili od gospodarzy grunta na przeprowadzenie koryta wodnego i placu znajdującego się między mostami kołowym i kolejowym u Cudzichów. Jednakże inicjatorzy tego dzieła do końca nie doprowadzili, lecz sprzedano je w całości Koppelmanowi z Tibergerem do spółki. Jest to rzecz doniosła dla miejscowej ludności pod względem gospodarczym, gdyż sama budowa fabryki jak i praca w niej daje ludności zarobek na miejscu.

W dniu 4 marca 1928 roku odbywają się wybory do Sejmu na posłów. W naszym okręgu wyborczym kandydował na posła z listy B.B.W.R. Nr 1 nasz, przez wszystkich ceniony i lubiany, rodak Gen. Andrzej Galica, to też mimo innych przekonań, ludność swoje głosy oddała na listę Nr 1, chcąc mieć swojego rodaka posłem — jednakże wybrany poseł rodak zdradził swoich wyborców i całą swoją rodzinną wieś sprzedając swój mandat Janowi Walewskiemu, mieszczuchowi obcemu. Takie postąpienie Generała Galicy wywołało ogromne oburzenie ludności, a tym samym stracił on zaufanie, powagę i honor u Rodaków. Wszelkie późniejsze, niechętne odnoszenie się ludności do spraw politycznych, należy tym zdradzieckim postępkiem generała tłumaczyć. Wybory na Sejm w dniu 8 września 1935 r., zostały przez Białodunajczan zbojkotowane tak dalece, że na 1200 uprawnionych głosowało 97 osób. W roku 1929 odbyło się tu jeszcze głosowanie, ale już nie na posłów, lecz za zniesieniem karczem we wsi, czyli plebiscyt przeciw alkoholowy, który równocześnie przeprowadzały jeszcze inne 4 gminy. W plebiscycie tym Białodunajczanie opowiedzieli się wszyscy (z wyjątkiem trzech) za zniesieniem karczem, które ostatecznie zostały skutkiem plebiscytu zlikwidowane, gdyż właścicielom odebrano koncesje.

Nielada uroczystość obchodzili Białodunajczanie w dniu 15 lipca 1928 roku, gdy budowa kościoła została tak dalece posunięta, że przednią część wykończono i urządzono i w tym dniu odprawiono pierwsze uroczyste nabożeństwo połączone z poświęceniem wykończonej budowy. Odtąd Biały Dunajec stał się ośrodkiem wsi Bańskiej Górnej, Niżniej i Glíczarowa, które wchodzą w skład parafii Biały Dunajec, i od tej chwili odprawia tu nabożeństwa do niedzielę ksiądz dojeżdżający z Szaflar. Od roku 1933 zyskuje Biały Dunajec wielkiego przyjaciela, a nie wykończony kościółek (brak wieży) gorliwego opiekuna w osobie Ks. Wł. Puczki, wikarego z Szaflar. Wykończenie kościoła w niedługim czasie nastąpiło, a ukoronowaniem tego dzieła były trzy piękne dzwony jakie w dniu 8 maja 1938 roku poświęcono i na wieży powieszono, a od sierpnia tego samego roku zostaje urzędowo ustawiona w Białym Dunajcu samodzielna parafia a jej proboszczem jako pierwszym jest zasłużony Ks. Wł. Puczka. Niezależnie od budowy kościoła budowano też i plebanię oraz budynki gospodarcze. Marzenia od dawna snute zostają osiągnięte w pełni. Nieomal w tymże czasie

Andrzej Skupień - Florek przed swoim domem

Biały Dunajec otrzymuje jeszcze jedną większą budowlę o znaczeniu gospodarczym. Jest nią duży młyn walcowy poruszany turbiną wodną, kóry postawił i uruchomił Dr. Śpieszny z Nowego Targu na placu wykupionym od Parów wraz z byłym starym młynem, pamiętającym czasy królewskie i pańszczyźniane.

Kościół, dwie szkoły, fabryka tektury, młyn walcowo - turbinowy, w miejscu stacja kolejowa podnoszą ogromnie znaczenie wsi. Powstają liczne organizacje społeczne i oświatowe: Ognisko Związku Podhalan, Kółko Rolnicze wraz z własnym sklepem, Koło Gospodyń Wiejskich, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Koło Młodzieży Ludowej, Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych itp.

W roku 1933 odbył się tutaj ogólny Zjazd Związku Podhalan, a gospodarzem zjazdu było miejscowe „Ognisko", któremu dzielnie przewodniczył młody Władek Para. Rozmach prac społecznych, jaki ogarniał ludzkość, powstrzymała straszna klęska powodzi, jaka nawiedziła w lipcu 1934 r. Małopolskę wyrządzając wsi naszej ogromne zniszczenie plonów i pól, z których na zboczach woda zniosła w dół uprawną ziemię, niszcząc drogi i mosty gromadzkie jak i most na rzece Biały Dunajec, na drodze państwowej Nr 13. Otwarło się ogromne pole pracy, odbudowy zniszczeń — a tu brak było żywności. Rzutniejsi gospodarze, działacze, organizują dowóz żywności za gotówkę z powiatów Wołynia dla tutejszej ludności. Ta konieczność dała pewne doświadczenie tym ludziom, i odtąd sprowadzają dla wsi wszelkie potrzebne produkty i towary gospodarcze, nie wyłączając nawozów sztucznych, z pominięciem wszelkich pośredników. W tym też roku wchodzi w życie nowa ustawa o zmianie ustroju samorządu terytorialnego a w związku z tym nasza gmina samodzielna zostaje przekształcona na gromadę wchodzącą w skład zbiorowej gminy Poronin. Według spisu ludności z roku 1931, gromada liczyła 2.504 osoby, więc mieliśmy prawo wyboru 32 radnych gromadzkich. Ostatnim wójtem był Wincenty Majerczyk, a pierwszym sołtysem gromady Fr. Franosz.

Przechodząc z samodzielnej gminy na gromadę podległą zarządowi gminy zbiorowej utraciliśmy możność samodzielnej inicjatywy i jej realizacji, gdyż nasze projektowane zamiary nie zawsze rada gminna nam aprobowała, a najczęściej nam je odraczała na przyszłość. Mimo tego gromada wybudowała dom gromadzki, w którym w jednej części urządzono remizę Straży Pożarnej, a w drugiej ulokowano sklep Kółka Rolniczego. Przystąpiono też do elektryfikacji wsi, budując własnym kosztem linię elektryczną. Kupiono plac pod budowę trzeciej szkoły już 7-mio klasowej. Plany i kosztorysy zostały sporządzone, jednakże najazd niemiecki położył kres wszelkim poczynaniom gromady.

c. d. n.

Andrzej Skupień Florek

Najstarszy gazda w Białym Dunajcu Józef Pawlikowski - Solcorz, urodzony w roku 1857 z rodziny sołtysa wybrańca Pawlika, żyje i krzepko się trzyma do dziś.

WIERSZE KLEMENSA OLEKSIKA

ZAGAJNIK

Ten granat odmienił krajobraz:
w ataku na białe brzózki
nie znajdziesz i nie rozpoznasz
tej, z ostatniej majówki.

Jeśli wyrzeźbisz w przestrzeni
lej rozgrzanym granatem —
wiosną się zazieleni
kasztan przed twoją chatą

i wtedy, słysząc pszczoły
z odnowionego ula —
będziesz przyglądał się kwiatom
jak wystrzelonym kulom.

*
* *

Pomidory dojrzałe, gładkie
jak policzek przy powitaniu odległym:
ustawiam na oknie
nawprost słońca.

Zasłuchałem się w ciszę ogródka
papierosem spalonym do końca.

Strzegę śliwek niedojrzałych u płotu
przed zwinnych chłopców napaścią.
Za stodołą suszy się jęczmień
na garściach.

I przy sennym żórawiu zagdakała
czupurna kwoka —
tylko Burek spojrzał spod oka
i chmura na niebie przystanęła biała.

Żniwa odprawiane na rżyskach
brzękiem wujowej kosy
jak akt ostatni w mej sztuce —

ludzie na opalonych ramionach
słońce niosą.

PRZY ŹRÓDLE

Jeśli kiedyś marzyłem — marzyłem o źródle
w lesie koło Końskich. U stóp wzgórza
wśród omszałych kamieni
ranny Lotnik jak komunikanty
przyjmował krople czerpane czapką.

Potem podchodzili koledzy —
nie przeglądali się w zwierciadle:
ale tak na czworakach przykładali usta
a jak upływały minuty
puszcza nabierała uroku
i życie wydawało się rozleglejsze i wolne.

Można było podziwiać omszałe kamienie —
mnie zdawało się jakby to było miejsce dziewicze,
gdzie pozostał jeszcze ślad stopy pierwotnego człowieka.
Ale niedaleko, na jodle, były wyryte litery:
ktoś kto tu przed nami był
kosztował smaku źródlanej wody
i upamiętnił tę chwilę napisem.

Czy mógłbym teraz znaleźć to miejsce?
Wątpię. Nikt z nas nie myślał wtedy o geografii
nie zaznaczał na mapie oaz takich jak ta.
Przechodziliśmy szybko od jednej potyczki do drugiej.
Na tym Lotnik ostatni raz pił wodę źródlaną.

MIASTO

Na mglisty ranek wyniesiono malarskie płótno
wiszące teraz tu, w muzeum miejskim.
Przychodzą mieszczki o wydatnych biustach
i oglądają wstydliwie akt męski:
gdzie się podziewa człowiek-model ?
zginął przechodząc przez jezdnię —
na nagrobku nie napisał nikt nic
o jego sławnej śmierci.

Chłopcy w gimnazjalnych mundurach
czepiają się tramwajów, jeżdżą na stopniach
dojrzewają w głębokich ławkach szkolnych
na mówców profesorów i inżynierów.
Lokator z drugiego piętra
nie zeszedł dziś do stołówki:
wygląda przez zamglone okno
na karawan wracający z pogrzebu.

Mieczysław Grad

O POWIEŚCI DLA WSI

(Referat dyskusyjny wygłoszony na zjeździe w Rytwianach)

1. TEMAT.

Mówiąc o literaturze ludowej w ściślejszym, autentycznym tego słowa znaczeniu oraz o literaturze bezprzymiotnikowej, ogólno - narodowej, winniśmy je traktować jako dwie fale idące ku sobie na spotkanie. Pierwsza — uboga jeszcze w zakresie formalno technicznym ale nowa i przebojowa w treści — druga, postępowa w zakresie artystycznych technik, ale nieludowa, nie chłopska, i nie robotnicza, bo mieszczańska w treści. Te dwie fale spotkają się i zespolą organicznie poprzez artystyczne unarodowienie pierwszej i treściowe uludowienie drugiej.

Dlatego mając mówić o powieści dla wsi, mówić będę na temat powieści w ogóle. Tak jest. Na temat współczesnej powieści polskiej. Zdaję sobie sprawę z tego, że referat mój będzie fragmentaryczny i jednostronny. Jest jednak w programie Zjazdu drugi na ten sam temat referat Anny Kamieńskiej traktujący rzecz bardziej z formalno-technicznego, warsztatowego punktu widzenia, tak, że jednostronność jednego rodzaju można będzie uzupełnić jednostronnością innego rodzaju, które wzajemnie winny się konfrontować i sprawdzać.

2. KRYZYS POWIEŚCI.

Kiedy rozważamy współczesną powieść, współczesną powieść polską na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat, okresu sięgającego jeszcze poza pierwszą wojnę światową, okresu międzywojennego i już powojennego, podstawowym bodźcem rozważań jest chyba fakt, który można określić jako rozwieranie się nożyc pomiędzy rozwojem ogólno - społecznym i rozwojem powieści. Zachodzi tu, być może, swego rodzaju złudzenie perspektywiczne. Czujemy jednak wyraźnie, że rozwój powieści nie nadążą za rozwojem życia społecznego w ogóle, że powieść nie wytrzymuje tempa rozwoju współczesnego życia społecznego, że nie towarzyszy godnie tym wielkim przeobrażeniom, jakie na oczach naszych się dzieją.

Powieść nowoczesna, nobilitowana jako odrębny literacki gatunek w epoce romantyzmu (jak to wykazał Kazimierz Wyka w szkicu „Romantyczna nobilitacja powieści" — „Twórczość", r. 1946 z. 7 — 8) stała się gatunkiem literackim, panującym w drugiej połowie w. XIX, w epoce pozytywizmu. Wtedy powieść osiągnęła jeden z kulminacyjnych punktów rozwoju, w okresie mieszczańskiego realizmu, wiążącego się we Francji z twórczością Balzaka, u nas Prusa. Balzak wspaniałymi osiągnięciami swojego realizmu powieść uklasycznił jako gatunek i związał ją z pewnym schematem. Wielkość Balzaka sprawiła, że jego powieść stała się systemem odniesienia dla późniejszego rozwoju tego gatunku.

Niedługo jednak po Balzaku występuje w powieści zwrot, rozpoczynający się od naturalizmu. Od klasycznego balzakowskiego realizmu powieść, jak zresztą inne gatunki, zmierza do psychologizmu. Od świata obiektywnego do świata subiektywnego, od społecznego do psychicznego, od realizmu do nadrealizmu.

Tej zmianie pozycji, z których pisarz ustosunkowuje się do tworzywa, by je w formie powieściowej przetworzyć i zorganizować, towarzyszy zjawisko wzrastającego tzw. amorfizmu, rozkładu formy, tej właśnie balzakowskiej, realistycznej. Rozpoczyna się grzebanie w psychicznych wnętrznościach, wymagające z kolei komentarzy powodujących dłużyzny. W miejsce artystycznej analizy świata obiektywno - społecznego wkracza do powieści psychoanaliza. Przynosi to w konsekwencji zmniejszenie się jej komunikatywności, czytelności w sensie społecznym, oraz sprawdzalności w sensie krytycznym.

W związku z tym, powieść jako gatunek przechodzi kryzys. Nowe treści cywilizacyjno - społeczne nie mając możności ujawnić się w powieści typu proustowskiego, powieści psychologicznej, przenikają do literatury w formie reportażu. Tak więc w XX w. narasta owo charakterystyczne rozwidlenia klasycznego dziewiętnastowiecznego realizmu: jednostronna, psychologistyczna intrawertyczność z jednej strony oraz równie jednostronna, reportażowa ekstrawertyczność.

3. O NOWY REALIZM.

Można dostrzec, ujmując rzecz z gruba, odpowiedniość pomiędzy rozwojem ogólno - społecznym i rozwojem powieści. Zarówno bowiem powieść Balzaka jak i powieść Prousta, to powieść mieszczańska. Balzak jest odpowiednikiem kulminacyjnej, szczytowej, zdobywczej fazy mieszczaństwa. Mieszczaństwa zadowolonego z siebie, klasowo dojrzałego, społecznie ustabilizowanego. Mieszczaństwa stanowiącego podstawową bazę kapitalizmu, wówczas jeszcze towarowego. Natomiast Proust przypada już na okres kapitalizmu finansowego, kredytowego, bankowego, o zwężonej społecznej bazie. Proust tworzy w okresie postępującego rozkładu kapitalistycznego systemu, rozkładu, któremu towarzyszą perturbacje filozoficzne i światopoglądowe odczuwane przez mieszczańskich ideologów jako katastrofa nie tylko kapitalistycznych form organizacji życia społecznego, umożliwiających i warunkujących obie wielkie wojny światowe, lecz jako coś w rodzaju końca świata. Katastrofizm literacki towarzyszy społecznemu katastrofizmowi burżuazji, jako upadającej klasy, tendencje amorfistyczne w powieści tendencjom rozkładowym ustroju społecznego.

Jest bowiem rzeczą naturalną i zrozumiałą, że inteligent mieszczański wyrzucony przez ustrój na margines życia społecznego nie będzie w tym życiu społecznym, w jego instytucjach i procesach szukał tworzywa powieściowego. Zwróci się z braku perspektyw społecznych w dziedzinę jednostkowej jaźni, w dziedzinę koronkowej psychoanalitycznej roboty, tam będzie szukał przygód, sensacji i rewelacji. Nie znaczy to, że na tym terenie nie może być realistą i twórcą wielkich dzieł, przecież dzieła Marcelego Prousta i Tomasza Manna odznaczają się też, zwłaszcza w niektórych swych partiach, realizmem. Ale realizm psychologiczny jest przeciwstawny realizmowi społecznemu, jest realizmem na przeciwnym biegunie. I bardzo łatwo może spłynąć w solipsyzm. A co może najważniejsze: realizm psychologiczny jest mniej sprawdzalny niż realizm społeczny i grozi mu wskutek tego szczególna łatwość nadużyć.

Tak jak kryzysowi kapitalizmu odpowiada (w bardzo ogólnym zarysie) kryzys powieści, która się właśnie w tym systemie uklasyczniła, tak też odpowiadają sobie próby wyjścia z obu kryzysów. W życiu ogólno-społecznym — walce o nową rzeczywistość ustrojową, towarzyszy wołanie o nową rzeczywistość w literaturze, w powieści. O nowy realizm, neorealizm, w odróżnieniu od historycznego realizmu mieszczańskiego, typu balzakowskiego.

5. JAKA TRADYCJA.

Kazimierz Wyka w szkicu pt. „Tragiczność, drwina i realizm" (Twórczość — r. 1945, z. 3) ocenia tragiczność i drwinę jako dwie zasadnicze postawy, w których manifestowała się międzywojenna dążność młodego, awansującego pokolenia pisarzy, — do realizmu. I jeżeli z tą diagnozą można się zgodzić, trudno jest zgodzić się z usprawiedliwieniem literatury, w tym wypadku powieści, że nie wydała w owym czasie realistycznych dzieł w wielkim stylu. Czytamy tam: „Parweniuszostwo międzywojenne nie było również w stanie dostarczyć pisarzowi materiału dla obiektywnego szasunku. Nie było w stanie dlatego, ponieważ fundamentem podobnego szacunku jest zawsze ujrzenie, uznanie przez pisarza typu duchowego społecznie skończonego, na tle obiektywnego porządku swego czasu. Podstawą jest typ duchowy przekazany przez pokolenia, rozwinięty w ramach postępowego porządku historii. Takim typem był rycerz wojownik w czasie swoim, był nawet zapóźniony rycerz fantasta Cerwantesa, był nim szlachcic polski, jest nim na pewno ciągle chłop, jest robotnik w takim porządku społecznym, który nie mąci i nie przytłumia ich miejsca. Darujcie, typem epicznym nie jest napewno urzędnik kontraktowy ani zawodowy bezrobotny".

Nie ze wszystkim w powyższym wywodzie można się zgodzić. Czyż bowiem dla pisarza obiektywną rzeczywistością jest tylko rzeczywistość oficjalna, wyrażająca się w świecie dążeń, pojęć i doznań panującej klasy, elity stojącej na usługach reżimu? Czy nie jest równie obiektywna rzeczywistość uciskanych warstw ludowych, chłopów i robotników, walczących o zmianę owego oficjalnego, uświęconego przez reżim porządku? A przecież walka i praca ruchu ludowego, wyzwalająca poświęcenie i heroizm, wychowująca tęgich ludzi poprzez sanacyjne więzienia i prześladowania — chyba nie była parweniuszostwem. I chyba dostarczała pisarzowi materiału dla obiektywnego szacunku! Zwłaszcza, że, jak sam Wyka stwierdza, chłop stanowi ów „typ społecznie skończony", „przekazany przez pokolenia".

Nie leży w moich intencjach pomniejszanie roli pisarzy reprezentujących w owych latach postawy tragiczności i drwiny. Ale jeżeli już współczesne, powojenne wołanie o realizm chcemy poprzeć literacką tradycją prozy międzywojennej, to chyba więcej tu znaczą i **Kruczkowski, i Wasilewska, i Burek, i Morton, i Kowalski.** Ten nurt międzywojennej literackiej tradycji jest chyba najbliższy współczesnym, powojennym postulatom realizmu, realizmu ludowego a nie mieszczańskiego.

6. HISTORYCZNOŚĆ.

Dyskusja o realizmie prowadzona na łamach polskich tygodników społeczno - literackich przyniosła, jak dotąd, nie wiele więcej ponad ogólniki. Mniej więcej wszyscy dyskutanci godzą się na to, że realizm, oczywiście realizm społeczny, jest jedyną właściwą drogą rozwoju powieści. Że dzisiaj, w epoce wielkich przeobrażeń społecznych, potrzebna jest nam powieść możliwie ścisła, objektywna, bardziej związana z przebudowywaną rzeczywistością społeczną. Dalej, że wzorzec balzakowski, aczkolwiek wysoce wychowawczy, nie może być po prostu naśladowany w odmiennym układzie historyczno-społecznym. Wskazuje się przy tym na realizm radziecki, żądający włączenia w realizm współczesny elementów romantycznych, heroicznych, uzasadnionych innym niż u Balzaka stosunkiem do rzeczywistości. Tak np. Gorkij wskazywał, że realista mieszczański ustosunkowuje się krytycznie do własnego ustroju, podczas gdy realista ludowy ma do rzeczywistości ludowej stosunek nie tylko pozytywny ale realistyczny. Ta różnica w postawie społeczno - politycznej powoduje różnice w postawie artystycznej, literackiej.

Zresztą wydaje się być rzeczą jasną, że postawa mieszczańska przeziera nie tylko z tez ale i z artystycznej techniki mieszczańskiego realizmu. Technika artystyczna, to sprawa nie tylko „techniczna", jest ona zwykle powiązana z tym co się określa światopoglądem i ideologią. Z drugiej strony jest rzeczą naturalną, że realizm obecny musi być budowany w oparciu o literackie tradycje, bez względu na to, czy to są tradycje mieszczańskie, czy zgoła feudalne. W „Iliadzie" Homera czy w „Boskiej Komedii" Dantego są przecież rzeczy większe, aniżeli systemy społeczne, w których dzieła te powstawały. Ale jak w tradycji literackiej pomnażanej i wzbogacanej przez pokolenia odróżnić elementy kwalifikujące się do odrzucenia w nowym układzie społecznym od elementów „nieśmiertelnych"? Sprawa to bardzo trudna i bardzo istotna.

7. DWA KRYTERIA.

Chyba nie ulega wątpliwości, że powieść, jak zresztą wszelki utwór literacki (w stopniu mniejszym lub większym, bardziej lub mniej bezpośrednim) sprawdzalna jest podwójnie: 1) w kategoriach ściśle literackich (wewnętrznych) i 2) w kategoriach społeczno - historycznych, pozaliterackich (zewnętrznych). Krytykujemy powieści z jednej strony pod względem ich kompozycji, techniki, stylu, języka, za pomocą ich konfrontowania z zastanymi schematami i konwencjami, z drugiej strony sprawdzamy je społecznie. W jaki sposób? Jeżeli powieść jest sui generis uwikłaniem jednostkowych losów ludzkich w odpowiedni społeczno - historyczny kontekst, analizujemy ten kontekst powieściowy, siły w nim występujące, ich wzajemne ustosunkowanie i proporcje oraz zestawiamy wyniki tej analizy z naszą obiektywną wiedzą o tej epoce, która, przynajmniej w wycinku, jest przedmiotem powieści. I jeżeli kontekst powieściowy, artystyczny, jest spójny, zgodny z kontekstem społeczno - historycznym, obiektywnym, realnym, — powiadamy, że powieść jest artystycznie prawdziwa.

Pojęcie prawdy artystycznej nie jest jednak takie proste, jak by się na pozór wydawało. Nie jest proste, dlatego, że powieść przemawia językiem sztuki, a historia i socjologia językiem nauki.

Języki te są wzajemnie nieprzekładalne. A przecież chcąc powieść sprawdzić społeczno - historycznie, musimy przełożyć (ale nie powieść, tylko całkowity jej wynik artystyczny a nie tylko „realia") wrażenie wywierane przez nią na nas — na język nauki.

Kiedy dyskutujemy o realizmie, obracamy się przede wszystkim w sferze owej zewnętrznej sprawdzalności powieści aczkolwiek nie możemy tego robić odrywając badaną powieść od literackiej tradycji, od literackich konwencji, na tle których powstała. O realizmie decyduje jednak niewątpliwie stosunek powieści do realnego materiału, surowca, jaki ona przetwarza, przy czym interesuje nas nie tylko wybór surowca ale i sposób jego przetwarzania.

8. TENDENCYJNOŚĆ.

W jakim stopniu czy w jakim sensie realistyczna powieść społeczna, której niewątpliwie pragniemy, ma być ideologiczna i tendencyjna? Zdaje mi się, że z tą tendencyjnością jest wiele nieporozumień, spowodowanych zacietrzewieniem politycznym.

Georg Lukacs, wybitny krytyk radziecki, w swej pracy o realizmie, której rozdział dotyczący „Chłopów" Balzaka, drukowany był w przekładzie P. Hertza w „Twórczości" (październik 1945) pisze m. in., że „wielkość Balzaka polega właśnie na tym, że postronnie obserwuje wszystkie występujące na zewnątrz sprzeczności i daje im wyraz. Oczywiście, że w tych sprzecznościach Balzak widzi upadek świata, klęskę i kres cywilizacji. Jednakże mimo to Balzak przedstawia owe sprzeczności i dochodzi przy tym do głębokiego wniknięcia w przyszłość". Reakcyjność ideologiczna i polityczna Balzaka nie zdołała więc umniejszyć prawdy artystycznej jego powieści.

Wydaje się, że powieść powinna być tendencyjna, ale nie poprzez polityczną ideologię autora. Tendencyjność winna być wpisana w fakturę dzieła. Chyba fakty ukazywane w powieści są najwłaściwszą w sztuce ideologią. **Historia jest postępowa i jeżeli oblicze jej zniekształcone zostanie przez pisarza, zarzućmy mu nie reakcyjność, ale właśnie brak realizmu.**

Weźmy znaną powieść **Kuczkowskiego** „Kordian i cham". Jest to powieść i realistyczna i tendencyjna niewątpliwie. Powieść ta przemawia do nas artystyczną prawdą. Ale przemawiałaby do nas jeszcze mocniej i rzetelniej, gdyby polityczna postępowość autora nie podsunęła mu artystycznych ułatwień w kreśleniu sylwetek zarówno postępowych jak i reakcyjnych. W sztuce idzie się naprzód raczej poprzez utrudnianie sobie zadań aniżeli ułatwianie. Powiem krótko: **społeczny realizm w powieści, nie wymaga postępowej ideologii politycznej autora, bo jako realizm już jest postępowy.**

9. SOCJOGRAFIA POWIEŚCIOWA

Obok niewłaściwie pojmowanej tendencyjności czy ideologiczności grożą realistycznej powieści niebezpieczeństwa ze strony... socjologii. Zwłaszcza wtedy, gdy pisarz chce poszerzyć teren społeczny widzialny w powieści oraz ukazać masowość zjawisk prezentuje nam wielką liczbę postaci. Niebezpieczeństwo to występuje w sposób klasyczny w wydanej niedawno trzytomowej powieści **Juliana Gałaja** pt. „Mystkowice wioska mała". W tej „gromadzkiej" powieści (przedstawia bowiem dzieję gromady wiejskiej w przekroju historycznym kilku dziesiątków lat) bohaterowie zbyt są zdeterminowani przez bio-ekonomiczne warunki, a przez to zbyt nudni. Odwrót od psychologizmu poszedł tu, jak sądzę, zbyt daleko.

Przekroczenie przez pisarza pewnego obserwacyjnego dystansu prowadzi bowiem do tego, że ukazywani w powieści ludzie władzani są wyłącznie w generalnych determinantach biologii i ekonomii z uszczerbkiem dla motywów psychologicznych. Powieść zamienia się w socjografię.

Socjologia czy też socjografia zajmują się typami ludzkimi w ich zewnętrznym uwarunkowaniu, podczas gdy literatura nie może obejść się bez psychologicznej indywidualizacji w granicach socjologicznych typów. Pisarz nie może dopuścić do tego, by czytelnik z góry wiedział, jak zachowa się bohater wyłącznie na podstawie uprzednich danych o jego społecznej pozycji. W powieści musi występować element niespodzianki, powiem: niespodzianki obiektywnej (choć nie mam pewności, czy terminu tego używam zgodnie z intencją jego autora — K. Wyki). Mówiąc jeszcze inaczej, choć może zbyt po grecku: idiograficzność powieści winna być wpisana w jej nomotetyczność. Indywidualność i niepowtarzalność przedstawianych w powieści faktów, postaci i sytuacji winne być socjologicznie uzasadnione.

W związku z tym chciałbym zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa, wyłączności socjologicznej krytyki literackiej, jaką tu w swoim referacie stosował Leonard Sobierajski.

10. PLANOWANIE W LITERATURZE.

Zanim przejdę do próby sformułowania „pogramu" współczesnej powieści polskiej, chciałbym się pokrótce zastanowić nad sensownością tego rodzaju przedsięwzięcia.

Czy jest sens planować i wysuwać programy w twórczości literackiej? Sądzę, za Brzykowskim (por. „Progamofobia" w zbiorze „Słoń wśród porcelany"), że program pożyteczny jest chociażby przez to, że odbiegając od niego wiemy przynajmniej, od czego odbiegamy. Wydaje mi się jednak, że istota rzeczy polega tu nie na samej egzystencji programu, ale na jego charakterze, założeniach i granicach.

Przede wszystkim musimy pamiętać, że **do utworu literackiego prowadzi droga od surowca czyli od faktów pozaliterackich poprzez świadomość intelektualną do świadomości artystycznej dysponującej narzędziami formalno - technicznymi.** Te cztery elementy są warunkami koniecznymi.

Druga sprawa: **program musi uwzględnić literacką tradycję,** ponieważ bez tego mógłby się okazać fantazją i zawisnąć w próżni.

Trzecia sprawa: **w literaturze,** tak jak w ogóle w twórczości kulturalnej wyższego rzędu, **planować można tylko podstawowe tendencje,** nie można zaś planować szczytowych i szczegółowych osiągnięć. Mamy więc tu do czynienia z planowaniem niezupełnym.

Wypływa stąd teza czwarta: **w planie należy odróżniać konieczności od możliwości,** a forsując jeden typ możliwości nie wolno traktować go jako konieczności. Teza piąta: **koniecznością jest próg formalno - techniczny, podczas gdy do możliwości należy w zasadzie dziedzina treści.**

Teza szósta: **wobec tego walczyć trzeba o treść.**

Teza siódma: **utwory pojawiające się na marginesie programu należy poddawać zaostrzonym rygorom formalno - technicznym i w wypadku ich wybitnych osiągnięć należy im się szacunek ze strony krytyki.**

Przy tym wszystkim nie zaszkodzi uwaga następująca: cała rzecz dzieje się w republice prawdopobieństwa, a nie pewności. Należy unikać apodyktyczności i fanatyzmu.

11. O NOWĄ TREŚĆ

A teraz życzenia pod adresem powieści. **Niech to będzie powieść wpisująca losy ludzi w obiektywny świat fizyczny i społeczno-historyczny. Niech się w niej coś obiektywnego dzieje. Niech nas swoją artystyczną prawdą informuje o świecie i umożliwia głębokie uczestnictwo w dokonywujących się przeobrażeniach. Niech wypracowane dotąd mieszczańskie schematy powieściowe wypełni treściami ludowej, chłopskiej i robotniczej teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Niech poprzez zastrzyk nowych, ludowych treści zdąża do nowych form.**

To nic, że mieszczańska technika powiązana jest z mieszczańskim „światopoglądem" czy „koncepcją świata".

Nie sądzę, byśmy ze względu na „ostrożność" mieli iść do powieści ludowej poprzez powtórne podnoszenie jej ze straganu, jak proponuje J. Al. Król.

Ale jeżeli pisarz podejmie nowy, ludowy temat, jeżeli napełni utwór ludową problematyką, to przecież poprzez oryginalność treści, wątków, stylu, chwytów, języka osiągnie oryginalność formy, choćby startował nawet z balzakowskiego wzorca. W swoim czasie w recenzji o „Oberku Świętokrzyskim" Ozgi - Michalskiego, drukowanym w „Twórczości" (styczeń — 1946) zwróciłem uwagę na to, jak się te sprawy mają w poezji.

A przecież treści ludowe wołają wielkim głosem o obywatelstwo w literaturze.

Chociażby historia chłopów, olbrzymi, nietknięty prawie przez powieść szmat dziejów Polski.

Czy jakiemu pisarzowi przyszło do głowy napisać powieść np. o wyprawie pod Wiedeń w r. 1683, w ten sposób, by ukazać jak owe historyczne wypadki załamywały się w przeżyciach prostych ciurów, jak pod oficjalnością husarskich skrzydeł kształtowały się ponure losy pańszczyźnianego ludu!?

Powieść trzeba uspołecznić i zhumanizować! O tym, jakie tematy współczesnego życia czekają na opracowanie powieściowe, mówił pięknie minister Szyr.

Tak więc **zagadnienie powieści współczesnej jest** w moim przekonaniu **zagadnieniem przede wszystkim jej treści.**

Gustaw Przeczek

ONDRASZEK

Fragment sztuki wyróżnionej w konkursie „Wsi"

AKT I.

SCENA przedstawia izbę śląską. Z lewej drzwi z podwórza, z prawej drzwi do sąsiedniej izby. W tyle okna otwarte. Umeblowanie skromne. Na ścianach obrazy świętych.

PROLOG

Na scenie zamyślony Dudziarz, staruszek białowłosy.

DUDZIARZ: Lud prosty, uczciwy, bogobojny, pracowity, szczery i otwarty. Lecz ciężki, twardy i nie znający litości los nęka go od wieków niewolą. Czyż nie ma sprawiedliwości! Czyż nie wzejdzie i dla niego kiedyś słońce wolności!? Czyż ciągle bat pański smagać musi te przygięte z trudu plecy! Chodzę tak między ludźmi i słucham, co gadają. I słyszę płacz, narzekania i przekleństwa na psią dolę... I słyszę czasem słowa zwątpienia, a czasem słowa ostrego buntu przeciw niespra-

Gustaw Przeczek

wiedliwemu porządkowi świata. Lud ten, miłujący nad wszystko spokój, gotów jest jednak zbuntować się, zerwać z rąk ciążące kajdany i odetchnąć wolnością. Bunt wzbiera w piersi tego ludu — i przyjdzie raz chwila, kiedy dojrzeje, kiedy przeleje się, a wtedy poleje się krew i runie stary, zmurszały świat.

Przez okno słychać rozmowę dwóch chłopców. Dudziarz oparty o kij milczy zadumany — i słucha.

GŁOS I.: Straszne słychać wieści — Panowie nas mordują, pracą i nahajem zabijają, piją krew z żył naszych jak pająk — już ani łza nie tryśnie spod piekących powiek.

GŁOS II.: Wójta Szebestę wtrącili do lochu, pewnie wiatr jutro po nim zaszlocha — i nowy ciężar zawiśnie na piersiach, nienawiść buchnie pożarem i zapali proste serca... lecz to nic nowego, to wszystko stare.

GŁOS I.: Biją nahajką, poniewierają, poniżeniem darzą i dziesięć razy srogo ukarzą, zanim trochę swej łaski pokażą. Nie dość, że męczą ciało, duszę jeszcze gniotą skałą, wyrywają serce z piersi i bezczeszczą, co najświętsze...

GŁOS II. (stłumionym głosem): Gwałcą żony, córki nasze, hańbią ojcowe poddasze — a tu milcz i schylaj karku i tocz krwi kroplę po kropli na pańskim folwarku.

GŁOS I.: Coraz cięższe nasze życie, coraz bardziej dzień nas gniecie, krew nam z żył wyciska, a bieda wyszczerza zębiska.

GŁOS II.: Lud tego nie wytrzyma i powstanie — zamiast potu krew spłynie po łanie i — może wichry rozmiotą kości naszych prochy, a może... wolność nas pokocha — —

GŁOS I.: Trzeba kogoś, co by poprowadził, dał nam wskazówki i dobrą radę, zachęcił, zjednoczył, słoneczka nalał w gasnące już oczy.

GŁOS II.: Wierzę, że ta chwila raz nadejdzie. Będzie ranek cudny, miły, słońce ranne wzejdzie, padnie hasło z ust młodych doniosłe, aż skłonią drzewa wierzchołki wyniosłe. — I pójdzie naród, potoczy się jak rzeka, której nic nie wstrzyma.

GŁOS I.: Tak myślę o Ondraszku Szebestowym, który kiej na groniu krzyknął, dziad we Frydku ze strachu klęknął...

GŁOS II.: Dobry był, czuły na krzywdę ludzką. Szkoda, że go tutaj nie ma, nie pozwoliłby na wyrządzanie krzywdy swemu ojcu.

(Głosy cichną).

DUDZIARZ (jakby się ocknął ze snu).

Niezadowolenie rośnie, rodzi się myśl nowa odrodzenia, zmiany na lepsze... Szukają, jeszcze poomacku, ale przyjdzie czas, kiedy zadrżą pańskie progi z trwogi, lud wolny powstanie — przyjdzie, przyjdzie ono, już niedalekie ranne świtanie...

Kurtyna opada, po czym podnosi się na nowo. Dudziarz znika.

SCENA I.

Na scenę wchodzi Hanka, wychowanka wójta Szebesty.

HANKA: Kaj się podziała ta radość, która do niedawna gościła w tych ścianach. Telki roki były mi one drugim kochanym domem przybranych ojców, a teraz przyjdzie mi znowu udać się na sierocą tułaczkę (pukanie we drzwi z lewej).

HANKA: Proszę dalej (Wchodzi Marycza).

MARYCZA: Niech będzie pochwalony Pan Jezus Chrystus.

HANKA: Na wieki wieków. Cóż was tu sprowadza?

MARYCZA: Jestem znajoma Ondraszka, syna Szebesty, który jest wójtem w tej dziedzinie. Czy dobrze trafiłam?

HANKA: Tak. To nieszczęsny dom byłego wójta Szebesty.

MARYCZA (porywczo): Jakto byłego? Co to znaczy?

HANKA (smutnie): Dużo tu trzeba opowiadać.

MARYCZA (j. w.): Mów... prędko... prędko...

HANKA (powoli): Wójt Szebesta, mój przybrany ojciec, jest zamknięty w lochach dworu pańskiego.

MARYCZA (płonąc cała): Za co? Co zrobił takiego, by go aż do więzienia wrzucić było trzeba?

HANKA: Według naszej sprawiedliwości — nic, lecz według pańskiej — zbrodnię...

MARYCZA: Jak to? nie rozumiem. Znam go, kiedy był w mieście u syna swego Ondraszka, wtedy studenta, jako człowieka szlachetnego i zrównoważonego. Jakiej to zbrodni według pańskich pojęć mógł się dopuścić?

HANKA (powoli): Stawał w obronie krzywdzonych gospodarzy (chwila ciszy).

MARYCZA: Więc za to, że bronił skrzywdzonych, wrzucono go do więzienia? — Nie, to niemożliwe.

HANKA: Jest możliwe! bo to wszystko, co tu powiedziałam, jest prawdą! Nie mogę również zamilczeć o tym, jak go batami okładano tutaj przed naszymi oczyma... a kiedy tracił przytomność, oblewano go zimną wodą i bito na nowo... Musiałam patrzeć na jego straszne męczarnie, który był dla mnie, sieroty drugim kochającym ojcem (płacze).

MARYCZA: Więc to wszystko jest prawdą! Wierzyć się nie chce! Czyżby oni zdolni byli to uczynić, czyżby aż na tyle zatracili swe serca ludzkie!?... Nie, pójdę i sama przekonam się.

HANKA (z lękiem): Nie idźcie tam, bo z pewnością nie powrócicie już...

MARYCZA: O nie! nie bój się, nic mi się nie stanie! Jestem krewną państwa z waszego dworu.

HANKA (z lękiem, bez ruchu patrzy na nią).

MARYCZA: Nie lękaj się! Jestem inna od tamtych, których się boisz.

HANKA (wahając się): A skąd znają Ondraszka?

MARYCZA: Ondraszka poznałam w mieście, gdzie chodził do szkół. Wiem, że porzucił już dawniej studia, dlatego przyszłam tutaj, by się znowu z nim spotkać...

HANKA (z rumieńcem, speszona): Dlaczego chcą się z nim spotkać?

MARYCZA (świdrując ją oczyma): Chcę się z nim spotkać, a tłumaczyć się przed tobą nie mam ochoty, bo cię to nic nie obchodzi... Do widzenia (odchodzi).

HANKA) (chwilę patrzy na drzwi, za którymi zniknęła Marycza): Więc ona zna mojego Ondraszka... Boże, ona mi go chce zabrać... Nie, to jest niemożliwe (z błyskiem w źrenicach). Bronić go będę do ostatka — on... jest mój do śmierci.

(Chwilę stoi bez ruchu jak martwa, potem klęka przed obrazem N. P. Marii i modli się).

Najświętsza Panno, która jesteś taka dobra, taka litościwa, nie pozwól, aby mi zabrano mego Ondraszka.

(Z drugiego pokoju odzywają się jakieś szmery).

SCENA II.

SZEBESTOWA (woła spoza drzwi): Haniczko!

HANKA: Już idę (idzie do drzwi, lecz te się otwierają i w nich pojawia się Szebestowa).

HANKA: Czemuście wyszli z łóżka, tacyście słabi... Siednijcie sobie tu na ławie.

SZEBESTOWA: Musiałam.... Ni mogę wydzierżeć w łóżku. Czy już przyszedł Ondraszek z wojska?

HANKA: Każdej chwili może przybyć! Pawlik spod krępli już przedwczoraj udał się po niego.

SZEBESTOWA: A jak go nie puszczą z wojska?

HANKA: Nie bójcie się. On naisto przyjdzie... kajby też nie przyszedł do was... dyć was tak miłował...

SZEBESTOWA: Haniczko! niech ci to Pońbóczek wynagrodzi, żeś taka dobra dla mnie... (po chwili). A co jest z moim Pawliczkiem?

HANKA: Nic nie wiem... mówią, że go zamknęli w lochach dworskich...

SZEBESTOWA: Gdyby go choć na chwilę puścili, aby się jeszcze ze mną pożegnał na świecie.

HANKA: Ale nie mówcie tak, przeca go tak długo tam nie będą trzymali...

SZEBESTOWA: Haniczko! — mój koniec się już zbliżo, jo to czuję. Śmierć już stoi za płotem i kiwie na mnie palcem, trza mi się zabierać. Ach, gdyby już przyszli — Pawlik z Ondraszkiem, bym się mogła z nimi jeszcze pożegnać.

HANKA (z płaczem): Nie mówcie tak, przeca jeszcze będziecie żyć długo...

SZEBESTOWA: O, ni... Haniczko, ni...

(Pukanie).

Wchodzi Gajdzioczek.

GAJDZIOCZEK: Pochwalony.

HANKA i SZEBESTOWA: Na wieki.

GAJDZIOCZEK: Jak się macie wójtowo?

SZEBESTOWA (mówi z trudem): Bardzo biednie... Już się ostatnio chwila zbliżo. Z czym tu do nas przychodzicie?

HANKA: Czy wiecie co tam ś nimi jest we dworze — wy tam mieszkacie blisko, to może dowiedzieliście się czegoś...

GAJDZIOCZEK: Właśnie przynoszę wieści.

SZEBESTOWA (przerywa): Mówcie.

GAJDZIOCZEK: Złe wieści przynoszę.

SZEBESTOWA: Możne go zaś bili...

GAJDZIOCZEK: Nie bili już... bo...

SZEBESTOWA trzęsąc się cała): Co się stało — mówcie... Na Boga.

GAJDZIOCZEK: On już...

SZEBESTOWA (przerywa):... dokonał...?

GAJDZIOCZEK (cicho): Tak...

SZEBESTOWA (z krzykiem): Boże (przewraca się na ławie zemdlona).

HANKA (z płaczem rzuca się na kolana).

SCENA IV.

Wchodzi Ondraszek w stroju śląskim. Chwilę rozgląda się, spostrzega matkę leżącą na ławie, więc przyskakuje do niej i klęka obok.

ONDRASZEK: Matulu najdroższa, co wam jest? Odezwijcie się, to ja jestem, Wasz Ondraszek, który przybył z wojska na wasze wezwanie.

SZEBESTOWA (wraca do przytomności): Kto tu jest przy mnie?

ONDRASZEK (z bólem): To ja, Ondraszek, kochana matulu.

SZEBESTOWA: Przyszedłeś... a więc puścili cię!

ONDRASZEK: Nie puścili... musiałem uciec!

SZEBESTOWA: Nie chcieli cię puścić, ja to przeczuwałam, ale to dobrze, żeś jeszcze przyszedł ze mną się pożegnać... Chcę ci jeszcze dużo powiedzieć.

ONDRASZEK: Co mówicie, matulu! Nie rozumiem! Przecież jeszcze będziecie żyć, musicie żyć!

SZEBESTOWA: Ondraszku! Dziecko me kochane! Moje godziny już są policzone.

ONDRASZEK (nagle wstaje i nieustępliwym wzrokiem wodzi dokoła). Co się tu stało? powiedźcie mi, bo nie wytrzymam! Mamo, co znaczą te uderzenia na szy!!?

SZEBESTOWA (z trudem, ciężko oddychając): Przebacz im, synku, niech ich Pońbóczek sądzi!

ONDRASZEK (w rozpaczy): A kaj ojciec? (Chwila milczenia).

ONDRASZEK (głośniej): Kaj są ojczulek?

HANKA (płacze głośno).

GAJDZIOCZEK: Ondraszku, już nie masz tutulka!

ONDRASZEK: Kaj są?! co się z nimi stało?! Mówcie! Na Boga! Prędko mówcie!

HANKA (przez łzy): We dworze... ich zamęczyli...

ONDRASZEK (zdaje się nie rozumieć): Co?

HANKA (j. w.): Zamęczyli ich...

ONDRASZEK: Oni!... (chce wybiec z izby).

SZEBESTOWA: Ondraszku!

ONDRASZEK (zatrzymuje się).

SZEBESTOWA: Ondraszku! na łożu śmiertelnym proszę cię: zostaw zemstę Panu Bogu. On jest sprawiedliwy, wszystko widzi i wszystko wie...

ONDRASZEK: Mamulko, jak mam wytrzymać, kiej mi was pobili a tatulka umęczyli.

SZEBESTOWA (prosząco): Synku mój, zostaw zemstę Pońbóczkowi... proszę cię o to...

SCENA V.

Wchodzi lokaj dworski.

LOKAJ (stojąc przy drzwiach, tonem urzędowym): Z polecenia Jego wysokości hrabiego Prażmy oznajmiam, iż Szebestowa, żona byłego wójta Szebesty, ma się udać zaraz do dworu na roboty.

SZEBESTOWA (z wysiłkiem): Jak mam iść, kiedy ani wstać nie mogę.

LOKAJ: To mnie nic nie obchodzi. Rozkaz musi być spełniony!

ONDRASZEK (tonem nieprzejednanym): Rozkaz nie będzie spełniony!

LOKAJ (podniesionym głosem): Co? (zbliża się do ławy).

ONDRASZEK (zastępuje mu drogę): Ani się ruszyć nie waż!

LOKAJ (j. w.): Precz z drogi! Coś ty za jeden?!

ONDRASZEK: Jestem Ondraszek, ich syn.

LOKAJ (zdziwiony): Jak to jest możliwe?! Nie otrzymałeś przecież zezwolenia na urlop z wojska.

ONDRASZEK: Sam sobie wziąłem urlop.

LOKAJ: A więc dezerter. Pójdziecie do dworu więc obydwoje.

ONDRASZEK: Nie!

LOKAJ (chce go uderzyć nahajką).

ONDRASZEK (usuwa się).

LOKAJ (uderza Szebestową): Wstawaj i chodź do dworu!

ONDRASZEK (z pasją): Coś ty zrobił, bydlę! (chwyta go z tyłu i wyrzuca na podwórze): Zdychaj!

HANKA: Ondraszku! umierają!!

ONDRASZEK (rzuca się obok na kolana): Matulko!

SZEBESTOWA (ostatnim wysiłkiem): Ondraszku!... za chwilę odejdę... na zawsze... Więc cię proszę jeszcze raz... abyś zaniechał zemsty... Pónbóczek jest sprawiedliwy...

ONDRASZEK: Matulu.... tyle krzywdy nam przebaczyć?!

SZEBESTOWA: Przebacz synku!... Wiesz o tym, że tatulek już poszedł — a ja idę za nim... nie zapomnij więc o naszej chudobie... i o Hance — która mnie ani na chwilę nie opuściła...

ONDRASZEK: O wszystkim będę pamiętał!

SZEBESTOWA (kładzie ręce na głowach Ondraszka i Hanki, umierając): Pamiętaj... zawsze..., co ci... powiedziałam... Przebacz wszystkim... i największe... krzywdy... — a Pan Bóg... dobrotliwy... o tym... nie za... i po...mni...

ONDRASZEK: Matulu!

GAJDZIOCZEK: Ondraszku! za późno już biadać. Twa matka już nie żyje... Trzeba ją przenieść do jej izby na łóżko.

ONDRASZEK (wstaje i patrzy tępą źrenicą przed siebie).

GAJDZIOCZEK i HANKA (biorą ostrożnie Szebestową i wynoszą na prawo do sąsiedniej izby).

ONDRASZEK (sam): Zostałem na ojcowskiej chudobie. Czeka mnie najpierw ciężka kara — a potem poniżenie i zwierzęca harówka.

SCENA VI.

Wchodzi Juraszek.

JURASZEK: Cóż ci to, Ondraszku, żeś taki zatroskany!?

ONDRASZEK: Trudno mówić, gdy serce poszarpane w kawałki, a dusza ludzka zdeptana.

JURASZEK: A więc to wszystko prawda, co ludzie gadają, że ojciec twój już nie żyje!?

ONDRASZEK: Prawda to... Lecz jeszcze gorsze spotkało mnie nieszczęście, bo ukochana moja mamulka teraz umrzyła.

JURASZEK: Więc zostałeś sierotą!

ONDRASZEK: Czeka mnie poniewierka i praca.

JURASZEK: Ondraszku! Jeszcze nie wszystko powiedziałeś, wiem o tym — i dlatego ty nie możesz zostać w domu, bo czeka cię tu większe zło, aniżeli sobie myślisz!

ONDRASZEK: Co mi takiego strasznego grozić może?

JURASZEK: Czyś nie potłukł lokaja dworskiego? Cała wieś już o tym wie. We dworze ruch — zbierają hajduków, by cię schwytać i ubić na śmierć.

ONDRASZEK: Nie tak łatwo im to pójdzie. Nie znają jeszcze Ondraszka Szebestowego!

JURASZEK: Ondraszku! Cóż zrobisz przeciw kilkudziesięciu uzbrojonym?

ONDRASZEK (patrzy pytająco na Juraszka): Co mi więc wypada robić?!

JURASZEK: Uciekać!

ONDRASZEK (tępo): Kaj?

JURASZEK: W nasze góry. Tam mogą szukać wiatru co gra na jedlach. Nie będziesz tam sam. Inni już ostrzą swe ciupagi. Ja idę z nimi.

ONDRASZEK (wahająco): Nie mogę rzucać swej ojcowizny, której kazała mi strzec umierająca matka.

JURASZEK: I tak jej nie ustrzeżesz, kiedy cię tu nie stanie...

ONDRASZEK (jakby do siebie): Więc mam odejść i rzucić wszystko na pastwę losu?

JURASZEK: Nie na zawsze. Chaty będzie pilnować Hanka do tego czasu, aż będziesz się mógł wrócić.

ONDRASZEK (smutnie): Ale kiedy to nadejdzie!?

JURASZEK: To będzie zależeć od nas samych. Nie bój sie, jest nas więcej!

ONDRASZEK: Ty też?

JURASZEK: Ja także! Nie mam już nic. Porwano mi młodą żonę, a chałupę puszczono z dymem. Nic innego mi więc nie pozostaje, jak zemścić się...

ONDRASZEK: Zemstę powinniśmy zostawić Bogu, który jest sprawiedliwy.

JURASZEK (ironicznie): A gdzie jest ta sprawiedliwość?! Tobie zamordowano rodziców, mnie zabrano żonę i pozbawiono chudoby. Więc to ma być sprawiedliwość?! Ondraszku! nie ma na świecie sprawiedliwości, musimy więc jej szukać sami!

ONDRASZEK: A przecież — trudno mi...

JURASZEK (j. w.): Dziwię ci się, Ondraszku, bo dotychczas innego cię znałem.

ONDRASZEK: Ale matula...

JURASZEK: Zamordowano ci ją — może jeszcze morderców błogosławić będziesz...

ONDRASZEK: Na Boga, nie mów dalej!

SCENA VII.

Wchodzi Dudziarz z przewieszonymi przez plecy dudami, kijem tułaczym się podpierając

DUDZIARZ: Niech będie pochwalony.

ONDRASZEK i JURASZEK: Na wieki.

DUDZIARZ: Przychodzę z ważną wieścią do ciebie.

ONDRASZEK: Mówcie!

DUDZIARZ: Wiem, że pierś twoja przepełniona jest bólem po stracie twoich najdroższych rodziców...

ONDRASZEK (milczy — w bezruchu, zapatrzony w dal).

DUDZIARZ: Nie chcę rozdzierać twych ran — ale są chwile, kiedy trzeba zapomnieć o własnym bólu i kiedy trzeba poświęcić się dla dobra innych.

ONDRASZEK: Za wielki ciężar przygniata barki.

DUDZIARZ: Każde cierpienie czyni człowieka większym, lepszym, doskonalszym i odporniejszym...

ONDRASZEK: Do czego zdążacie dziadku?

DUDZIARZ: Dużo się zmieniło w ostatnim czasie, kiedy ty służysz w wojsku. Obraz tego wszystkiego zarysowuje się przed twymi oczyma twym własnym nieszczęściem...: Ale to wszystko nic w porównaniu do tego ogromu rozpaczy całego ludu jęczącego pod batem wszechwładnego pana, pana życia i śmierci tego prostego wiejskiego ludu. Nie ma domu, gdzieby nie lały się łzy, pełno wszędzie ran, z których broczy krew. A te łzy i krew rodzą w duszy bunt — jak pożar...

ONDRASZEK: Za mała pierś ludzka, by go pomieścić.

DUDZIARZ: I nic nie ugasi tego pożaru. Nadchodzi czas, kiedy lud musi powstać i zrzucić jarzmo niewoli z bark swoich.

ONDRASZEK: Ale, to zawcześnie jeszcze.

DUDZIARZ: Czas już nadchodzi. Trzeba tylko odważnie rozpocząć, trzeba ludowi wodza, który go poprowadzi.

ONDRASZEK (patrzy pytająco na Dudziarza).

DUDZIARZ: Co obecnie chcę powiedzieć, do ciebie się odnosi. Oto tłum skrzywdzonych znając ciebie, twą prawość, znając twego ojca, wzywa cię, byś na ich czele stanął, pomścił krzywdy i wywalczył lepszą przyszłość dla potomków naszych.

ONDRASZEK: Wasze słowa są płomieniem, który nową siłą wlewa się w moją duszę, lecz... to jest zbyt śmiałe i straszne przedsięwzięcie, nie zgadzające się z ostatnią wolą mojej matki, która przed śmiercią prosiła mnie, bym im przebaczył.

DUDZIARZ: Ja, który już sto lat kołaczę się między tym śląskim ludem, dość napatrzyłem się na męki i okrucieństwa, którymi męczono ten lud o sercu miękkim jak wosk pszczeli na pasiekach. Dużo ten lud już wycierpiał i gotów jeszcze wycierpieć, ale dobre duchy chcą go ratować, chcą polepszyć jego los twardy i nieubłagany. Padł już potężny zew. Dziesiątki ciupag ostrzy się już w borach odwiecznych. Ty, Ondraszku, jesteś ich słońcem, więc musisz wykorzystać swą władzę nad nimi i poprowadzić ich w jaśniejszą przyszłość.

ONDRASZEK: Ale — czy ja sprostam zadaniom, nałożonym na me barki?!

DUDZIARZ: Sprostasz, tylko musisz mieć wiarę, silną wiarę, która daje moc duszy i mięśniom.

ONDRASZEK: Nie mogę się zdecydować.

JURASZEK: Ondraszku! przypominam, że to jedno twe wyjście. Za niedługo tu będą dworscy, a wtedy... będzie już zapóźno.

ONDRASZEK: Boże, jak tu opuścić matkę na śmiertelnym łożu!

DUDZIARZ: Czyliż ja się mylę, żeś Ondraszek, ów wybranek losu, przeznaczony do stworzenia całemu ludowi śląskiemu lepszej doli... Ów Ondraszek nie powinien się nigdy wahać, gdy idzie o szczęście wszystkch. Strzeż się samolubstwa. Idź na wioskę, pomiędzy chaty i słuchaj: spod każdej strzechy słychać lamenty i przekleństwa na tych tyranów, a ty się wahasz im pomóc, myśląc tylko na siebie!?

ONDRASZEK (zdecydowany): A więc pójdę... lecz nie mścić się, ale polepszyć dolę uciemiężonych braci.

DUDZIARZ (natchnionym głosem):

Ja widzę tłum ciupag błyszczących stalą,
Ja widzę źrenice, które się palą
świętym ogniem czynu! Widzę pierś twardą,
która sięga śmiało po lśniącą gwiazdę
szczęścia ogółu... — lecz, co widzę — na Boga,
tam w dali jakaś ciemna biegnie droga,
a na niej serce krwawiące umiera
łatwowierne! Ondraszku, nie wierz wrogom!

(odchodzi).

SCENA VIII.

Wchodzą z prawej — Hanka i Gajdzioczek.

HANKA: Kto tu był? Słyszałam jakiś podniesiony, trzęsący się głos.

ONDRASZEK: Był tu Dudziarz.

HANKA: Ów wieszczek, co od lat chodzi od wioski do wioski i opowiada o jakichś cudach bożych, które się wkrótce stać mają. — I co chciał od ciebie?

ONDRASZEK: Kazał mi domagać się sprawiedliwości dla pokrzywdzonych.

HANKA (tknięta złym przeczuciem): I pójdziesz?!

ONDRASZEK: Pójdę... bo muszę... wahałem się długo — ale — jakiś wewnętrzny głos nie daje mi spokoju i wciąż nagli mnie do pośpiechu. Zresztą tu zostać nie mogę, bo po tym co się stało, nie mogę spodziewać się łaski z dworu.

HANKA: A matka...

ONDRASZEK: Wiem... lecz — nie mogę inaczej. Haneczko, zajmij się wszystkim za mnie — myślę, że w krótkim czasie będę mógł powrócić.

HANKA: Ondraszku, czy będziesz pamiętać na mnie... która... (cicho płacze).

ONDRASZEK: Haneczko, nie zapomnę... powrócę... powrócę, — ty podczas mojej nieobecności pilnuj ojcowizny!

Wchodzi z pośpiechem Marycza.

MARYCZA (staje przed Ondraszkiem i patrzy mu w oczy).

ONDRASZEK (zaskoczony): Marycza... skąd się wzięłaś tutaj?

MARYCZA: Przyszłam do ciebie — by się dowiedzieć niemiłych rzeczy.

ONDRASZEK: Krzywdzą mnie twoi krewni.

MARYCZA: Nic na to poradzić nie mogę. Tyś dla nich tylko zwykłym chłopem, z którym można robić, co się im tylko podoba. Dlatego musisz uciekać. We mnie masz przyjaciółkę i opiekunkę — która cię obroni...

ONDRASZEK: Bardzo dziękuję. Nie potrzebuję opieki. Idę szukać sprawiedliwości.

MARYCZA: Sam nic nie zrobisz, nieszczęsny!

ONDRASZEK: Nie sam. Mam do pomocy twarde pięści mych krzywdzonych braci.

MARYCZA: Więc odrzucasz mnie, która jedyna mogłaby cię ochronić — gdzieś dalej dać warunki spokojnego życia.

ONDRASZEK: Nie miałbym nigdy spokojnego życia, wiedząc o krzywdach mych braci, wołających o pomstę do nieba.

MARYCZA: Ondraszku! później przekonasz się, żeś źle postąpił — rozmyśl sobie to dobrze, jeszcze czas zmienić swe zdanie.

ONDRASZEK: Już zdecydowałem.

MARYCZA: Dobrze! ale pamiętaj, że się to dla ciebie źle skończy. Wiedz o tym, że setka uzbrojonych drabów ze dworu idzie... Właśnie stamtąd przychodzę, by cię ostrzec. (Odchodzi).

ONDRASZEK: Dziękuję!

HANKA: Ondraszku! chociaż serce mi się kraje, lecz nie mogę cię zatrzymać. Idź — pamiętaj o mnie...

ONDRASZEK: Haneczko! (uścisk).

GAJDZIOCZEK: Ondraszku, kiedy ty idziesz, to ja z tobą. Nikogo nie mam na świecie, więc obojętne mi, gdzie kości swe złożę...

ONDRASZEK: Więc chodź jako pierwszy.

JURASZEK: Ja byłem Ondraszku pierwszy, który sam cię namawiał do tego...

ONDRASZEK: Chodźmy więc razem jako pierwsi bojownicy o sprawiedliwość.

HANKA (ze łzą w oku — spokojnie): Niech wam Bóg poszczęści.

Ondraszek i Juraszek odchodzą. Pozostaje sama Hanka, podchodzi pod ścianę, gdzie wisi obraz N. P. Marii, klęka i gorąco się modli.

HANKA: Panienko przeczysta, w pokorze przed Tobą klękam i proszę Cię o Twą wielką łaskę. O spraw, ażeby wszystko udało się mojemu Ondraszkowi, ażeby mógł znowu powrócić do tej chaty, gdzie jego rodzice pracowali. O daj, ażeby udało mu się uzyskanie wolności dla nas, tak bardzo doświadczonych przez los. O, daj nam wolność, o daj wolność ludowi i jego ziemi — —

Kurtyna.

Gustaw Przeczek

Janina Grodzińska

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ

Urodziłam się na wsi, w powiece konińskim w roku 1913. Byłam najmłodszą z rodzeństwa. Było nas sześć dziewczynek i jeden chłopak Władek, a siostry miały imiona: najstarsza Joasia, Aniela, Renka, Zosia, Mania i ja, najmłodsza, Jasia. Gdy ojciec umarł, miałam dwa lata. Rodzice mieszkali na komornem. Ojciec był z zawodu kowalem. Na wsi mieszkał, bo liczył na pomoc rodziny, a rodzina była dalsza, bo tylko kuzynki i kuzynowie. Byli to gospodarze zamożni. Mieli po trzydzieści, czterdzieści i pięćdziesiąt morgów ziemi.

Opowiadała rodzina, gdy byłam już większa, że mój dziadek też miał spłatę jak inni bracia, ale zabrał pieniądze i pojechał do Anglii czy do Ameryki i tam pieniądze stracił. Nareszcie wrócił z powrotem do Niemiec i tam się zgodził za lokaja w jakimś dworze. Podobno zbałamucił córkę dziedzica, że miała mieć dziecko i oboje uciekli od jej rodziny. Podobno nie umiała po polsku mówić. Nauczyła się dopiero w Polsce. Nie była zdolna do żadnej roboty, a rodzina ją wyśmiewała, że to niby szlachcianka. Imię jej było Irma. Wzięli ślub w Koninie i mieli dziesięcioro dzieci. Umarła na suchoty mając czterdzieści lat. Dziadek zaś ożenił się powtórnie z wdową. Z tych dziesięciorga dzieci mój ojciec był najmłodszym, z zawodu był kowalem. Ożenił się z panną z miasta, dość przystojną i zamożną, która była córką jego majstra. Ojciec często zaglądał do kieliszka, pieniądze żony przepił. Z teściem się często czubili. Robić mu się nie chciało i dlatego przeprowadził się na wieś w pobliże swojej rodziny. Matka ojcu nic pomóc nie chciała, ładnie się ubierała i dlatego mieli dużą biedę. Rodzina też mu dopomóc nie chciała, tylko wciąż czyniła wymówki, że „niemiecki gatunek, robić mu się nie chce". Więc u nas nie było lekko. Podobno mojemu ojcu się zapaliła wódka w gardle i umarł gdzieś na drodze.

Po śmierci ojca, matka porozdawała dzieci rodzinie ojca, a sama pojechała podobno gdzieś do dworu na gospodynią. Różnie o niej mówiono, bo miała dopiero dwadzieścia siedem lat, kiedy została wdową i do tego była przystojna. Pamiętam, jak mnie kiedyś odwiedziła na wsi. Przyszła z siostrą Joasią. Była taką panią: — miała suknię jedwabną czarną, świecącą, lakierki, duży kapelusz, włosy długie, ładnie pod kapeluszem upięte. Joasia powiada: „Jasiu, to nasza mama". Nigdy nie wymówiłam „mama" i bałam się dojść do tej pani, tylko na nią z boku patrzyłam i chciałam wtedy mieć tylko te suknie i ten kapelusz i być taką ładną jak moja matka, która była ładniejsza od wszystkich ciotek i babek w całej wsi. Od tej pory matki już na oczy długo nie widziałam.

Dwie moje siostry: Joasia i Anielcia służyły już w mieście, a my młodsze byłyśmy u rodziny. Ciocia, u której byłam, miała czterdzieści morgów ziemi. Dzieci swoje kształciła. Najstarszy syn był na uniwersytecie i później był profesorem w Poznaniu, a dwie córki po skończeniu gimnazjum powychodziły zamąż za urzędników i mieszkały w mieście. Najmłodszy syn został w gospodarstwie.

Wszystkie moje siostry miały dużą biedę, a ja, najmłodsza, największą. Odwiedziła mnie kiedyś Joasia zimą. Chodziłam w trepach na bose nogi, które miałam tak odmrożone, że były całe pokryte ranami i do tego brudne, bo ran wymyć nie było można. Całe wieczory płakałam na te nogi. Płakałam z bólu i drapałam się po głowie, bo miałam strupy. Gdy siostra to zobaczyła — płakała nade mną i mówiła: „Co ty masz wszów w tych strupach. Te strupy ci się ruszają. Ja cię tu nie zostawię. Ty pójdziesz ze mną". Ciotka się na to chętnie zgodziła. „Przecież ubędzie jednej gęby do jedzenia — powiedziała — tylko zawadza w domu. Latem to jeszcze gęsi popilnuje a teraz zima, to nic z niej nie ma". Naprędce zrobiła węzełek z moich łaszków i dała mi stare pończochy po córce, a ja ucieszona z pończoch, ciotkę w rękę pocałowałam, że chociaż raz będę miała swoje własne pończochy na nogach, a że za duże to się podwinie i w trepach nie będzie widać.

Kiedy przyszłyśmy do miasta, było już ciemno. Chętnie by siostra nocowała, bo dzień krótki i śnieg na drodze, ale ciotka była chytra o jedzenie. Rozchodziło jej się o kolację i śniadanie. W drodze obie płakałyśmy sobie. Zmarznięte przyszłyśmy późno, bo w trepach prędko nie mogłam iść.

Państwo już spali. Rano siostra panią poprosiła, by mi pozwoliła parę dni poleżeć, abym mogła wygoić odmrożone nogi, a o wszach i strupach nic nie mówiła, bo by się brzydzili. Nie bardzo chętnie, ale się pani zgodziła, ponieważ się bała by siostra od niej nie odeszła. Miała bowiem sklep, w którym trzeba było rano pomagać, masło robić, bańki od mleka pomyć, ulicę zamieść, bo stróża nie mieli, podwórko, myć ustępy, a służące z miasta tego robić nie chciały. Przy tym siostra była bardzo pobożna, uczciwa, nikomu nic nie wydała, dlatego ją lubili.

Siostra polała mi głowę sabadylem. Gdy wszy zdechły, smarowała mi głowę szmalcem i strupy prędko zeszły. Włosy mi obcięła tak, że wyglądałam jak chłopak. Nogi mo czyłam w kleju, więc mi się prędko goiły. Siostry się poskładały, kupiły mi fartuszek, sukienkę, chustkę i od tej pory zaczęła się moja wędrówka po ludziach. Miałam wtedy lat sześć. W lecie siostry obie wyszły zamąż. Obie razem miały ślub. Joasia umarła przy pierwszym dziecku. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Anielcia trafiła bardzo niedobrze. Szwagier był stolarzem, robił za czeladnika, ale lubił wódkę. W domu były często hałasy, żonę bił, a ona chodziła na posługę. Dzieci im się rodziły co rok.

Na pierwszej służbie byłam za niańkę, ale nie byłam długo, bo nie umiałam jeszcze wyprać pieluszek. Poszłam wtedy do Anielci ale szwagier mnie bił i nie dał mi być w domu. Nie mówił inaczej tylko: wont szczeniaku!" Bił mnie, gdzie popadło. Jednego razu pobił mnie aż do krwi i wypędził na noc z domu. Całą noc spędziłam na dachu piętrowej komienicy. Ze strachu nawet mi się spać nie chciało, a rano przyjęła mnie do siebie jedna Żydówka na służbę. On był czapnikiem. Szył czapki i jeździł po jarmarkach, a w domu robili czeladnicy. Było mi tam bardzo dobrze i wesoło ponieważ czeladnicy cały dzień śpiewali po żydowsku. Co mi pani kazała, to robiłam: zmywałam, obierałam kartofle, poszłam do sklepu, no i z dziećmi na spacer do parku. Chodziłam także na naukę katechizmu do kościoła i przysposabiałam się do pierwszej spowiedzi. W końcu lata zostałam przyjęta do spowiedzi. Moja pani mnie bardzo ładnie ubrała za radą mojej siostry. Była to bardzo dobra Żydówka. W dzień pierwszej komunii św. nie pozwoliła mi nic robić, tylko się najadłam i spacerowałam, ale sama bez dzieci. Służyłam tam cztery lata. Zaczęły się bowiem śmiać ze mnie panie w parku, że taka miła dziewczynka żydowskie dzieci niańczy. Wstydziłam się więc tych polskich pań i za ich radą zaczęłam sobie szukać służby. Lecz nie poszło tak prędko, jak sobie myślałam, bo nasze polskie panie — urzędniczki i nauczycielowe z odrazą mówiły: „Fe, z takiego domu od czapnika, od takiego gudłaja, obroń mnie Boże, żebym taką służącą żydowską brała". Inna pani znów pyta się: „U kogo ty służysz — u polskich czy u Żydów?". Jak jej powiedziałam u kogo, to słuchać już nie chciała: „Ależ bym się brzydziła takiej żydowskiej sługi". I tak w każdym miejscu. Za radą jakiejś pani powiedziałam, że jestem ze wsi no i zgodziła mnie jedna pani.

Nazywała się Łowicka. Jej mąż był urzędnikiem w urzędzie skarbowym. Była ona wielka elegantka. Miała dwa pokoje czyste, ładne, dzieci miały pełno zabawek. Myślałam, że wstępuję do nieba po służbie u tej czapnikowej. Ale pani Łowicka nie była aniołem jak ja myślałam. O szóstej rano mnie budziła do sprzątania pokoju i sama usiadła w szlafroku na fotelu i palcem rozkazywała co robić. Gdy jej się nie podobało — zeskoczyła z fotelu, złapała ścierkę i zaczęła z niej kurz wytrzepywać o moją głowę. Napopychała mnie, napotrącała. Z płaczem ten pokój sprzątałam. Zawsze mówiła: „o ze wsi, to ślamazarne". Przy bylejakiej okazji mnie biła. Jeść nie było co. Zawsze chodziłam głodna. Dała mi pół filiżanki kawy i pół wody i jedną bułeczkę. Na talerz wlała mi wpierw wody a do niej dopiero zupy. Taka byłam głodna, że jak nie patrzyła, to wszystkie talerze wylizywałam. Przez parę tygodni byłam taka słaba, że mi się ciemno w oczach robiło, jak chodziłam. Nieraz płakałam tej czapnikowej — ona była taka dobra, dawała mi razem jeść ze swoimi dziećmi. Ile razy dawała dziecku ciasteczko, tyle razy i mnie. U pani Łowickiej często bywał ksiądz na kolacji. Na stole były różne smakołyki. Jednego razu dziecko stłukło filiżankę od kawy. Zbiła mnie, podrapała i poszczypała mi całą twarz aż do krwi. Wtedy uciekłam, choć się bałam szwagra, bo też był nie lepszy. Chodziłam wtedy na grób siostry i płakałam żeby mnie do siebie zabrała. Nic mnie nie interesowało, tylko chciałam umrzeć. Nareszcie po paru tygodniach tułaczki, stręczarka nastręczyła mi służbę do bogatych Niemców. Tam mi było nieźle, ale byłam zbyt młoda a robota była ciężka. Były cztery białe podłogi do szorowania, bo był to ich własny dom, a stróżów nie trzymali, tylko robili sami. Trzeba było zamiatać ulicę i podwórko, a wszędzie było bardzo czysto jak zwykle u Niemców. Życie było dobre, nałożyła mi tyle, że nie poradziłam zjeść, to samo co i oni jedli. Prać mi kazała razem ze swoim, bo lubiła bardzo czysto. Nie było tylko spania i musiałam chodzić w trzecią ulicę do siostry. Latem było dobrze, ale zimą, kiedy wieczór był długi, kolacja o siódmej, za wcześnie było iść spać, więc pani włożyła mi w garnek pierza bym je darła. Do dwunastej nieraz siedziałam i darłam aż się potem bałam iść tak późno spać. Gdy szłam przez podwórze, to specjalnie pukałam trepami żeby się odbijało echo i żebym się nie bała. Gdy zastałam w domu szwagra pijanego, to się często stołek odbił o moje plecy.

Jak tam długo byłam, to nie pamiętam, w każdym razie parę lat. Wtedy mogłam sobie już lepiej radzić. Umiałam sobie wyprać i wyprasować i od biedy ugotować.

Przyszła zima. Mrozy i śniegi były duże. Przy odmiataniu śniegu i rąbaniu rynsztoka koło studni poodmrażałam sobie ręce. Miałam takie wielkie rany, że mnie oddano do szpitala. W szpitalu przeleżałam dwa miesiące. Po wyjściu ze szpitala, znów się zgodziłam do Żydów, ale bogatych. Posiadali kiedyś majątki ziemskie i browar, kiedy to sprzedali, to się sprowadzili do miasta. W mieście mieli swoją dużą kamienicę i jeszcze gdzieś dużo lasów. Wszyscy ich nazywali jaśnie państwem. Mieli dwóch synów w Warszawie na uniwersytecie i jedną córkę, pannę Zosię, która studiowała we Włoszech malarstwo. Stara pani była chora na reumatyzm i mało wychodziła. Ja ją kąpałam, masowałam, byłam więcej przy niej jak przy robocie, bo do roboty najmowano kobietę. Pani ta uczyła mnie czytać, pisać, w czasie wakacji i córka. Dawali mi różne książki do czytania. Zabrali mnie do Krynicy nawet, kiedyś do Warszawy na jakąś rodzinną uroczystość. Ale w krótkim czasie pani ta umarła, ponieważ była już stara. Po śmierci matki córka oddała mnie do Krakowa do kuzyna swojego, który tam był lekarzem. Ach, Kraków! Tym się bardzo cieszyłam. Tak chciałam dawno do niego jechać, bo już od roku tam była moja siostra w klasztorze. Mało żeśmy się znały, wiem tylko tyle, że było jej na imię Reginka i że służyła u ciotki Sylwestrowej. Ciotka ją trochę wyposażyła do tego klasztoru. Z Krakowa Reginka pisywała do mnie często, ale zawsze to samo: „Bądź dobra i uczciwa". Płakałam i całowałam te listy. Teraz na myśl o tym, że będę w Krakowie, serce mi się rwie jak najprędzej ją zobaczyć. Nareszcie jednej niedzieli poszłam do sióstr Urszulanek. Ucieszyła się bardzo siostra, a ja znowu płakałam, bo nie wierzyłam, że to może być moja siostra. Nawet jej się bałam mówić „ty", tylko: „proszę siostry". Powiedziała: „dziecko kochane, ty u Żydów służysz, przecież to grzech, nie wolno. Musisz się koniecznie zmienić". — Co tu robić, miasta nie znam, służby tak prędko nie dostanę, zresztą od Żydów, kto mnie weźmie, tak jak kiedyś w Koninie?

Ale siostra mnie wybawiła z kłopotu. Jechała na święta jedna internistka do domu, naturalnie do majątku, przyjechała po nią matka i mówił, że potrzebuje młodszej pokojówki. Wtedy pożegnałam się z moją siostrą i pojechałam z panną Terenią. Siostra przy pożegnaniu tak mi powiedziała: „Jestem bardzo szczęśliwa, niczego mi nie potrzeba, tylko się martwię o ciebie".

Byłam w powiecie częstochowskim. Okazało się, że tam były już dwie pokojówki, a ja trzecia młodsza. Był lokaj, kucharka, kucharz. Dom pierwszorzędny i wymagalny. Dziedzice i dzieci bardzo religijni. Jaśnie pan wszędzie miał ukłony do ziemi i całowanie po rękach, a sam był sztywny, prosty, wszyscy go się bali, a w jego opinii byli wszyscy złodzieje, nygusy, choć robili od wschodu do zachodu. „Mało, mało, darmozjady, psiakrew" — tak krzyczał na nich. Jaśnie pani w domu była nie lepszą. Zmieniała służące co parę tygodni. Na szczęście dworaków było dużo, więc mieli dużo córek, jak nie była jedna, to druga. Tylko lokaj był w łaskach u jaśnie państwa. Niemal każda z dziewczyn dworaków spróbowała dworskiego chleba. Co poniedziałek dostawałyśmy trzy kilo chleba i gospodyni wydawała jakąś tam ilość masła, a jedzenie było codziennie jednakowe przez cały rok. Na obiad jednego dnia kapusta, na drugi maślanka do kartofli, a w upały sałata tylko z solą i maślanką i nic więcej do tego nie było, a kolacja — kwaśne mleko i kartofle, cały rok. Nic dziwnego, że dziewuchy, co mogły, to porywały. Czasem im tam kucharz dał co oblizać. Myśmy nosiły jedzenie z kuchni do kredensu. Kredens to jest taki pokój we dworze co się znosi potrawy, a z kredensu dopiero lokaj nalewa do wazy i nakłada na półmiski. Lokaj sam obnosił i podawał potrawy, ale z wielkim nabożeństwem. Wyginał się przy każdej osobie, głowę trzymał nisko nieomal do stołu po każdym podaniu, a jaśnie panią w rączkę całował, nawet i jaśnie pana pucnął w mankiet, pan zaś go za to po ramieniu poklepał i powiedział: „dobry ś". W domu były jeszcze dwie jaśnie pa-

nienki i jeden jaśnie panicz, ale ten panicz to było diablątko w ludzkim ciele, panienki były możliwe, zawsze uśmiechnięte, to dodawało otuchy do roboty jak się na nie spojrzało. Ale panicz kopał, drapał, pluł na talerz, jak się jadło i zawsze nas przezywał jak mógł najgorzej, aż wstyd to powtarzać. Co się której zdarzyło siłuc to zaraz było wytrącone z pensji. Choć by to był najstarszy grat, musiała płacić za nowe. Mnie się zdarzył wypadek gorszy od wszystkich. Poszłam zobaczyć do pieca czy już czas zakręcić. Otworzyłam drzwiczki a tu wylecał kawał węgla i w jednej chwili się rozprysnął na dziesiątki kawałków. Co tu robić? Rękami i nogami zgarniałam w jedno miejsce, na białej podłodze pełno plam czarnych, bo to była podłoga dębowa. Stanęłam bezradna. Ani mycie już nie pomoże. Całe piekło się wtedy zwaliło na mnie, bo nie tylko jaśnie państwo robili krzyk, ale najwięcej panicz i lokaj. Wtedy mnie panicz bił, popychał, pluł, wymyślał od najgorszej, że powinnam w chlewie świniom sprzątać, w kurniku siedzieć, a lokaj złapał się za głowę i latał jak szalony po pokoju: „A to niedorajda, co ona zrobiła, jak to pokój zeszpeciła" Ja sama byłam na to głupia co robić. Nie jadłam śniadania, obiadu, ani kolacji, spłakałam się bardzo Gdy wszyscy poszli spać, przy pomocy drugiej pokojówki wzięłam się do wiórkowania. Ale cóż z tego — małe dziurki to się dały wywiórkować, a wgłębienia większe pozostały brązowe. Zaprzestałyśmy, wyszczotkowały, ale zawsze było znać.

Od wczesnego rana lokaj na mnie patrzeć nie mógł, bo pokój zeszpecony. Po śniadaniu jaśnie pani zajrzała do gabinetu i powiada: „Cóż z tego, żeście tak wiórkowały? I tak znaki są". Tak mi było wtedy przykro, że o mało nie popełniłam samobójstwa z tej rozpaczy. Dosyć mnie kości bolą od wiórkowania a tu jeszcze krzyczą. Po południu wybrałam się na stawy po za ogród z myślą utopienia się. Przecież nikt nie będzie wiedział, gdzie się podziałam. W moim zamiarze przeszkodził mi kucharz, który szedł od strony stawów. Był to już człowiek niemłody. Zagadnął mnie: „Co to we dworze za hałasy były o tę głupią podłogę? Wszystko robi ten Kacper lokaj. On to jest lizus największy, wszystkim rządzi a sam najwięcej kradnie. Nikt tak po rączkach nie całuje jak on". A ja zaczęłam płakać i mu się zwierzyłam ze swego zamiaru. On wtedy bez namysłu wziął mnie za rękę i nawrócił. „Co? o takich burżujów, co z ludzkiej krwi żyją iść się topić? Przecież ty jesteś młoda na takie rzeczy. Dziś służyś tu, a jutro tam. Świat nie torba, nie zginiesz. Dla ciebie chleba zawsze starczy". Jakoś mi przetłumaczył i wróciłam z nim razem do dworu. Rezultat był taki: potrącono mi dwieście złotych, a brałam na miesiąc piętnaście. Trzeba mi więc było robić trzynaście miesięcy. Wypowiedziałam, że jak karę odrobię, to odejdę. W lecie była jakaś pani z Warszawy na letnisku, umówiłam się z nią, dała mi na drogę i pojechałam do niej do Warszawy. Było to na Koszykowej. Ten pan był adwokatem. Okazało się potem, że on prowadził jakąś sprawę temu dziedzicowi i z tej okazji żona była proszona na miesięczny pobyt z anemicznym synem na powietrzu wiejskim.

Pani adwokatowa była dobra. Umiałam już wtedy wyprać, wyprasować, ładnie nakryć i podać do stołu, bo przecież widziałam jak lokaj to wszystko robił. Państwo adwokaci mieli często gości. Byli tam adwokaci, sędziowie. Przychodzili na karty i bilard. Miałam nawet trochę dochodów, ale pan mecenas za dużo lubił dziewuszki, no i ja od niego nie miałam nigdy spokoju, do tego stopnia, że zmuszona byłam odejść. Obiecywał mi różności ażeby pani nie wiedziała. A mnie cóż by znowu z takiego adwokata przyszło, choćbym się nawet z nim znała? Unieszczęśliwiłby mnie tylko w życiu. Pani też nic nie powiedziałam, podziękowałam jej tylko i odeszłam. Myślałam, że po paru dniach dostanę jakieś zajęcie, ale się pomyliłam. Nie tak łatwo było w Warszawie co dostać bez świadectw i to jeszcze na początku lata, gdy panie wyjeżdżają na letnisko i służbę zwalniają. Użyłam wtedy głodu i chłodu. Nie tylko straciłam wszystkie oszczędności, ale zaczęłam sprzedawać swoje łaszki. Bez litości brały baby po pięć zł. za jedną noc, do tego w pluskwach i w robactwie. Sypiałam gdzieś na Starym Mieście, a gdy nie miałam czym płacić, to wtedy spałam na stopniach kościoła Św. Aleksandra. Zimno było bardzo, choć był to początek czerwca, w nocy na kamieniach... Długo w noc spacerowałam po Alejach Ujazdowskich, a potem głodna, zmęczona szłam pod kościół i znowu rano to samo latanie po biurach, stręczarkach. Sił brakowało do chodzenia. Buty mi się podarły. Dowiedziałam się, że istnieje biuro ochrony nad dziewczętami gdzieś na Mazowieckiej. Poszłam tam. Owszem, woźna mnie informuje, że tu się płaci pięćdziesiąt groszy za nocleg i rano czarna kawa kosztuje pięć groszy, a skąd tu brać te pięćdziesiąt pięć groszy dziennie? Sprzedałam ostatnią swoją suknię za trzy złote. Starczy na parę dni. Tam też przespałam parę nocy, a skąd tu brać pieniędzy na dalej? Coraz więcej głowa mnie boli i jestem słaba. Bielizna brudna zaczyna mnie swędzić. Pani kierowniczka oznajmiła mi, że śpię darmo dwie noce i rano kawy nie dostanę. Wieczorem mnie woźna nie wpuściła. Spałam pode drzwiami biura, ale nie tylko ja sama tam spałam bo spało nas tam więcej, a nawet jedna otruła się jodyną na schodach. Narobiła w nocy krzyku, wszystkich pobudziła i zabrali ją do szpitala. Gdybym miała na jodynę, to bym to samo zrobiła.

Ale ze mną też coraz gorzej. Mimo upałów zimno mi jest i jeść mi się chce. Poszłam ze wstydem pukać do drzwi i prosić o kawałek chleba. Jakaś stara kucharka dała mi bułkę z masłem, ale z osłabienia czy radości zjeść jej nie mogłam i podzieliłam się z drugą. Noc przespałam znowu na schodach. Rano chodzić wcale nie mogłam. Poszłam z Mazowieckiej na Chmielną, zapukałam o co do zjedzenia, ale jakaś pani z krzykiem: „Co to, dzisiaj niedziela. Taka młoda nie wstydzi się prosić. A do roboty się wziąć, a nygusy".

Usiadłam w tej sieni na progu. Siedzę, w głowie mi się kołuje, wychodzi dozorca i wygania mnie, że przyszłam na przeglądy i potem co ukraść. Ja go proszę żeby mi dał coś do napicia, a on na mnie z pyskiem: „Wont ze sieni! Udaje chorą, aby się litować. Znamy was". Wygnał mnie ze sieni. Poszłam ulicą Zielną i obok w budce poprosiłam o trochę wody. Sprzedająca dała mi. Wypiłam i poszłam z powrotem w stronę dworca, ale tak mi się zrobiło słabo po tej wodzie, że weszłam do sieni i zwymiotowałam, a potem usiadłam na stopniach koło dworca i siedziałam. Wieczorem zrobiło mi się cieplej, weselej i usnęłam w sieni na Marszałkowskiej, obok dworca. Miałam wtedy bardzo przyjemne sny, przede wszystkim, że byłam bardzo najedzona. Jak się obudziłam, to leżałam w zakaźnym szpitalu. Byłam chora na tyfus i zapalenie płuc. Po ośmiu tygodniach wypisano mnie ze szpitala. Nie miałam się w co ubrać. Co tu robić? Idę pomału w stronę Łowicza. Słaba byłam, że ledwie szłam. Były to początki sierpnia. Pełne sady owoców, ale przecież jeść się bałam. Ludzie na ogół obojętni na czyjąś biedę. Gdy prosiłam o coś do jedzenia, to jedna osoba dała, a pięć nie. Leżałam całymi godzinami po rowach. W pierwszy dzień uszłam pięć kilometrów, w drugi trochę więcej. W każdym razie do Błonia szłam trzy i pół dnia. Szłam boso bo na nogi nic nie miałam, ani nawet chustki na głowę. Włosy mi powychodziły, słońce głowę paliło, oczy poczerwieniały od płaczu, pić... Gdybym miała herbatę, to bym wypiła z garniec. Na jedzenie miałam taki apetyt, że wydawało mi się, że gdybym miała to bym zjadła kilo chleba na raz. Skręciłam z szosy w bok. Może zdala od szosy ludzie będą lepsi. Ale gdzież tam. Niektórzy mnie poczytywali za nienormalną, a to było najboleśniejsze, że się wszędzie bali czy co nie ukradnę. Skręciłam w stronę jakiegoś dworu, który stał w parku jak w lesie. Idę jak po zbawienie. Napewno sie tam napiję trochę herbaty i co zjem. Otóż i dwór. Ale gdzie tu wejść? Przy każdej bramie i furtce tablica: „Wejście wzbronione. Złe psy". Okręcam zdala przez podwórko folwarczne. Wszędzie widzę ludzi, a psów nigdzie. Widzę zdala koło dworu rwie róże jakaś dostojna pani. Widać zaraz, że to dziedziczka. Podchodzę bliżej, proszę ją o trochę herbaty, bo mam takie pragnienie i jestem po chorobie. A ona do mnie: „Co herbaty? A skaranie boskie z tymi włóczęgami. Ośmiela sie wołać herbaty, a może tortu lub czekoladki byś zawołała jeszcze? Co ci się zachciewa? Okropność, okropność".

Więc ja zawracam, ale ona woła: „Wróć się, wróć jeno". Wyjęła przez rękawiczkę z kieszeni pięć groszy i mi daje, a ja na to: „Dziękuję, ja pieniędzy nie chcę, tylko co się napić i zjeść". — „Dla twojej przyjemności nie pójdę teraz do kuchni kazać gotować. Mają teraz co innego do roboty, przed chwilą był podwieczorek". Ja na to: „Dowidzenia, żeby pani na to przyszło co mnie. Piszą wszędzie, że złe psy, a tu dziedzice są złymi psami".

Potem szłam powoli, aż zaszłam do jakiegoś lasu. Był to ładny, duży stary las. Rosły w nim nawet grzyby. Miło, ciepło, ptaszki śpiewają. Cóż mi z tego, kiedy ja idę bez siły i głodna. Usiadłam na trawie przy drodze, pod drzewem i usnęłam. Spałam dość długo. Ktoś mnie budzi. Patrzę jakiś pan ze strzelbą stoi obok mnie. Na drodze stoi bryczka zaprzężona w jednego konia. Okazuje się, że to pan leśniczy. Blisko był wieczór, więc jechał do domu. Zobaczył śpiącą, nieznaną w tych stronach. Obudził mnie i pyta: „Skąd to panienka idzie"? A ja mówię: „Z Warszawy, proszę pana". „Z Warszawy? — zdziwiony — i dokąd"? A ja mu odpowiadam: „Do Konina". Zdziwiony był, że idę boczną drogą, przecież na szosie by kto podwiózł. Powiedziałam mu wtedy, że idę ze szpitala i nie mam pieniędzy na kolej. Popatrzył na mnie zdziwiony i powiada: „Proszę wejść na bryczkę, podwiozę kawałek". Kiedy byłam na bryczce pytam go się, dokąd jedzie, a on odpowiada, że do domu. Zajechaliśmy do leśniczówki. Był to bardzo ładny dom. Leśniczy miał ładną młodą żonę, małe dziecko i służbę. Powiedział do żony: Przywiozłem ci do pomocy. Żona była zdziwiona: „Do jakiej pomocy"? pyta go. Opowiedział jej dopiero, że mnie zastał śpiącą pod drzewem i to pewno z wycieńczenia. Naradzili się oboje, że u nich jakiś czas zostanę, aż wydobrzeję. Wypoczywałam tam dwa tygodnie. Życie dobre mi dawali. Miałam dużo mleka do picia. Czasem się tylko z dzieckiem pobawiłam i leżałam na werandzie. Po lesie przeszłam się czasem. Przez dwa tygodnie doskonale wydobrzałam, bo mi niczego nie żałowali i to oboje, bo byli bardzo dobrzy, a przede wszystkim mną się nie brzydzili.

Na drogę dostałam stare pantofle, aby nie iść boso, chusteczkę na głowę, żeby mnie słońce nie paliło, chleba z masłem i z serem, trochę cukru w papierku i dziesięć złotych. Leśniczy wybierał się za interesem do Łowicza i mnie ze sobą zabrał. Było to już pod koniec sierpnia. Dni coraz krótsze, choć jeszcze upalne. Z Łowicza udałam się do Kutna szosą. Byłam wesoła, bo miałam dziesięć złotych, a dla mnie to było bogactwo.

Pomału zaszłam do Koła, a z Koła do Konina. Różne miałam po drodze noclegi: spałam na sianie, na słomie, w stodole, na górach, a w mieszkaniu nigdzie. Bałam się bardzo myszów, ale jakoś mnie nie zjadły, chociaż po mnie latały.

W Koninie poszłam do siostry. Miałam jeszcze pięć złotych, które siostrze oddałam, gdyż u niej było 6 drobnych dzieci, a sama chodziła na posługę. Szwagier nadal pije i bije siostrę. Pare dni było dobrze, ale jak szwagier przyszedł pijany, to znów był hałas i dalej na mnie wyzywał: „Co ten szczeniak tu robi tak długo? Czemu do roboty się żadnej nie bierze? Z pewnością gdyby dobra, to by siedziała, a nie latała tak". Bardzo mi było przykro bo nie miałam gdzie iść. Siostra to odczuwała, ale mi nic pomóc nie mogła.

Służyła gdzieś jeszcze starsza ode mnie siostra, ale gdzieś koło Zagórowa, więc się tam do niej wybrałam, bo siostra Zosia i Władek pojechali w tym czasie do Francji i do nikogo nie pisali. Udałam się więc do Mani. Po drodze wstąpiłam do jednej ciotki, która już była na wycugu. Zaraz mi powiedziała, że u niej nie będę mogła być, bo u niej nic nie ma do roboty, najwyżej u jej córki Stasi mogłabym kopać kartofle. Okazało się, że do kopania kartofli nie miałam siły po swojej chorobie. Nawymawiali mi dosyć, że jestem niezdara. Robiłam przez kopanie w domu. Nosiłam podwieczorek w pole. Wszędzie mi docinano: „Co to miasto z niej zrobiło. Ani do roboty teraz, ani do niczego. To maleczysko jej też tak gdzieś wyjechało i dzieciaki są bez domu". Skończyło się kopanie. Nie byłam już im teraz potrzebna, jak mówiła ciotka: „Już żeś nie dziecko, dasz sobie radę, u mnie roboty nie ma. Tako dużo dzioucha wszędzie robotę znajdzie". Mieli jeszcze do kopania buraki, ale robiło się coraz zimniej, a ja nie miałam ciepłego ubrania, więc byłam zmuszona iść do Marysi. Od ciotki do niej było około dwudziestu kilometrów. Siostra służyła u obcych. Kartofle późno sadzone nie były jeszcze wykopane. Co mogłam to pomagałam robić i chodziłam w ubraniu siostry. Przy burakach pomagałam, a nawet po namyśle zostawili mnie u siebie, bo roboty było dużo na całą zimę. Było pierze do darcia. Schodziły się dziewczęta i chłopcy całe wieczory, a po skończeniu darcia był „pierzok".

Przyszła wiosna. Zaczęła się robota w polu i w ogrodzie, to ja się przydałam. Na Wielkanoc siostra wyszła za mąż, a ja zostałam na jej miejscu. Siostra wyszła za mąż za jakiegoś gospodarza spod Częstochowy. Poznali się jak był w wojsku i przyjeżdżał na wieś po paszę dla koni. Gospodyni troszkę im do wesela dopomogła. Wesele odbyło się u gospodyni. Po ślubie zabrał ją do siebie. Potem ja zostałam sama. Byłam przez lato i zimę. Zimą mnie zaczęli też swatać. Był w drugiej wsi chłopak, sierota bez ojca i matki. Zwali go wszyscy w okolicy znajdką, bo podobno matka jego była panną i umarła jak on był malutki. Jego wychowywali ludzie. Każdy po trochu. Znany był na okolicę, bo grał na skrzypcach i na wesela go wszędzie brali. Mówiono mi, że jest bardzo robotny, uczciwy, cichy. Ja też sobie pomyślałam, że to będzie w sam raz dla mnie. Najwięcej się cieszyłam, że na skrzypcach gra. Ale trzeba było czekać, aż sobie usypię pierzynę i co nieco kupię. Potem zrobiła mi gospodyni wesele. Zamieszkaliśmy obok gospodarzów, ze starym dziadkiem co był na wycugu. Trochę sobie gratów kupiłam i cieszyłam się, że jestem już nareszcie na swoim, choć nadal chodziłam do gospodyni do roboty. Mąż też chodził do roboty, oprócz tego często grał gdzieś na weselu lub zabawie i miał z tego parę złotych. Zaczęliśmy sobie kupować trochę ubrania i różne rzeczy potrzebne do domu. Bardzośmy się zgadzali. Nareszcie doczekałam się chrzcin. Miałam córkę. Gdy wyszłam ze szpitala, w którym leżałam trzy miesięce, zrobiliśmy chrzciny. Dziecku daliśmy imię Barbara.

Słyszymy, że będzie wojna. Przyszły żniwa, a przy nich śpieszą się wszyscy, bo będzie wojna. Gospodarze zakopują zboże w beczkach. Zaczęliśmy też się pakować, ale gdzie? tam gdzie wszyscy: do Warszawy. Trzeciego września wzięliśmy pierzyny i dziecko z wózkiem. Pchamy, ciągniemy na zmianę, aby ujść przed Niemcami. Ale setki uciekinierów podzielają jeden los. Goraczka niemiłosierna, trudno upchać to wszystko. Nareszcie Niemcy bombardują Kutno. Jak tu się dostać do Warszawy. Strzały, ognie na kolicę. Wracamy z powrotem. Zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi. Było nas ponad dwieście osób wracających, śpimy w stodole. Samoloty bombardują. Kobiety uderzają w płacz. Co odważniejsi wychodzą za stodołę w pole zobaczyć co się dzieje, a tu odłamki ludzi ranią i zabijają. Z naszej stodoły zabiło sześciu chłopów. Czterech na śmierć, a dwóch po paru godzinach zmarło. Wśród tych zabitych znajdował się mój mąż.

O zgrozo, jak ci zabici wyglądali. Byli cali czarni. Nie było rady innej tylko chłopów chować i wracać w swoje strony. Wykopali jeden duży dół na polu i odbył się wspólny pogrzeb. Wracając do domu nie miałam pewności czy nasze strony nie są spalone. W tej niepewności wracałam. Ale było mi za ciężko i niejedno musiałam po drodze rzucić po prostu na ziemię. Po dwóch tygodniach wróciłam pod Zagorów. U nas było cicho i spokojnie, tylko mężczyźni pouciekali i po trochu wracali. Mój dziadek nigdzie nie uciekał.

Zaczęło się kopanie kartofli. Ja chodziłam do roboty a dziaduś mi pilnował dziecka. Na wiosnę dziaduś umarł. Córce jego potrzebne było to mieszkanie, więc mnie przyjęła z powrotem ta sama gospodyni u której służyłam. Byłam u niej do czasu wysiedlenia. Wysiedlili nas razem w strony piaszczyste po Niemcach w okolicy Kalisza. Wieś nazywała się Prażuchy powiat Kalisz. Blisko były lasy i szosa do Kalisza. U tej gospodyni już nie służyłam, bo ona sama chodziła do roboty, ale mieszkałyśmy razem, a ja chodziłam do okolicznych bauerów do roboty. Żeby nie dziecko, byli by mnie wysłali Niemcy na przymusowe roboty, tylko mnie broniło małe dziecko.

W czasie pobytu na Prażuchach zgłosiła się do mnie moja matka. Przywieźli ją podwodą chorą na reumatyzm i na zapalenie stawów. Do przytułku jej nie chcieli przyjąć, mówiąc, że ma córki. Przed tym była w Koninie u siostry, jako niezdolna do pracy, ale szwagier przyjął po babce volksdeutschowstwo, po naszej babce, która była rodem Niemką. Czterech synów siostrze wzięli do wojska, córki też tam miały jakieś posady, ale szwagier nie chciał mieć ciężaru z teściowej. W gminie wiedzieli, gdzie nas wysiedlili i do mnie ją przysłali. Cóż miałam robić, nie przyjąć? Choćbym nie chciała, to musiałam. Ale się bardzo zmieniła moja matka, o ile sobie przypominam ją kiedyś taką przystojną. Chociaż teraz też nie była stara, miała dopiero pięćdziesiąt parę lat, a już była niezdolna do pracy. Leżała tylko na łóżku i zawsze się modliła. Nie tylko w dzień, ale całe noce odmawiała różaniec i śpiewała różne nabożne pieśni. Tak bez przerwy szeptała pacierze, że nie można się było z nią dogadać. Umarła u mnie przed samym przyjściem sowieckich wojsk na zapalenie płuc. Nie było lekarza na wsi.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich, kiedy wszyscy wracali w swoje strony, pracowałam u restauratora w Cekowie, więc też i w tej wsi pozostałam. Naturalnie u innego gospodarza. Po wojnie syn tego gospodarza założył sobie w Kaliszu restaurację, a ja przyjechałam z nimi do Kalisza. Obecnie mieszkam z jedną panią. Dziecko chodzi do szkoły, a ja do roboty na cały dzień.

Janina Grodzińska

T. O. R.

TECHNICZNA OBSŁUGA ROLNICTWA P. P.

wykonuje we własnych warsztatach wszelkiego rodzaju remonty

TRAKTORÓW

i

MASZYN ROLNICZYCH

Remonty wykonywane są szybko, tanio i sprawnie

14 Warsztatów Okręgowych
106 Warsztatów Rejonowych

O Rytwianach felieton rymarski

Wreszcie już koniec tej podróży.
Stoją w koszulach ministrowie —
Nieznane jeszcze ich imiona
Wójtowi który czoło chmurzy,
Gdyż uroczystą mowę powie.

Tu cisza w lasy zadrzewiona,
A dookoła stały stawy
I amorficzny szemrał strumyk,
Gdzie się pływackie działy sprawy
I stał tatarak pełen zdumień.

Oto jest sala, co od rana
W uczonych wielce tonie sporach.
Pisarze wodę ciągną z dzbana
I grzmią w zapale do wieczora:
Iż bywa proza amorficzna,
Poezja me—ta—fo—rys—tycz—na.
Mówię bom smutny, bom wstał z rana
Pauza, zaczerpnę wody z dzbana

. . . . . .

. . . . . .

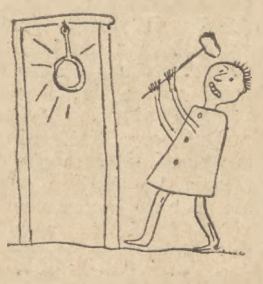

Gdy Chróścielewski w gong uderza,
Zasiada sprawnie cała sala.
Żółkiewski model wnet obala,
A Grad mu nieco nie dowierza.
I wnet o głos składają wnioski
Łakomy, Jucha, Wojciechowski
I nasz orator Ożarowski
(Bubiec o głos się nie chce ubiec)
Ale Skwarczyński daje znak

I wnet strach zimny nas przejmuje:
Czy „wicher rózgi brzóz rysuje"?
Czuła rzekł: nie! a Frasik: tak!
Aż tu Skwarczyński daje znak,
Lecz temu ważkie słowo przerwie
Stopczyk, co w wielkiej skoczy werwie
I opowiada nam przejęty,
Że ongiś, Stopczyk, chciał być święty
I by pokorą przejąć świat
Żył, Stopczyk, z kozą za pan brat.
I oto Król syntetyzuje
A Sobierajski sekunduje
(Kamieńskiej głosu nie słyszałem,
Acz bardzo pilnie uważałem)
Loża szyderców śledzi gafy
Pogan rozdaje autografy,
(Taką już bowiem ma naturę)
Próżno szukałem Piotra Chmurę.

Chłopski pisarzu nie patrz w kąty!
Siedzą w nich tacy dwaj malarze,
Co czynią z twarzy dwie potwarze.

Pogan juz podpis dwieście piąty
Położył. Mocno wyschło w dzbanie.
Kogoś brak w sali... Zmieniam wątek.

Każeś Jerzicku, ukochanie?

Cuda na ziemi, bo już księżyc
„Szerokocaśną" „grapą" spadł
I kiedy bardzo wzrok natęży
Kubiniec — Nędza — górski chwat
Ujrzy, aż skacze zbójnickiego
Księżyc.

Dziwniejszy jest od tego
Fakt, iż te hece — cudów podaż
Widział tak samo nasz gospodarz,
Gdy szedł z tym Nędzą za pan brat
I niezbyt pewnie stopy kładł...

I oto Król syntetyzuje,
A Sobierajski sekunduje,
Tam byłem, wody nieco piłem
I niezbyt pilnie uważałem
I... głos Kamieńskiej usłyszałem.

. . . . . .

. . . . . .

Godzina przyszła miękka, siwa
Na siwych szybach Łódź odpływa,
Do Rytwian ławą myślą zmierzam,
W rytwiański tłuczkiem gong uderzam,
Do „Wsi" zaszedłem — biurka w rzędzie
Przy „wiejskich" biurkach głucho wszędzie.
Bo oto Król nam podróżuje,
A Sobierajski sekunduje
Kamieńskiej szkic mój nie po myśli:
Co najpiękniejsze zdania kryśli,
Z żalu ten wierszyk arcypieski
sklecił

Tadeusz Chróścielewski

Redaktor „Wsi" J. A. Król i redaktor „Chłopskiej Drogi" Czesław Skoniecki wśród uczestników zjazdu.

Józef Kapuściński

PORYTWIAŃSKIE ROZMYŚLANIA

Skupienie grupy pisarzy chłopskich w Polsce jest wielkim sukcesem tygodnika „Wieś". Ponieważ tej sprawie patronuje Ministerstwo Kultury i Sztuki, jemu też należy się uznanie już nie tylko od samych pisarzy chłopskich, od Redakcji „Wsi", czy od Samopomocy Chłopskiej, ale od całego ludu, od szerokich i licznych rzesz chłopskich. W chłopie uznano wreszcie pełnowartościowego obywatela, otworzono dla niego na oścież drzwi do kultury i sztuki, do wiedzy i równości z innymi w kraju. Za czasów zaborczych wszelkie objawy samowiedzy stanowej chłopskiej tłumiono siłą. Rzadko kiedy znalazł się szlachic czy inteligent — chłopoman, który podawał chłopu rękę, aby iść z nim razem, dopomóc i poradzić w potrzebie. Wiemy, co przeżywał Deczyński za to, że pragnął się uczyć, że miał większy talent do pióra, jak do wiader i gnoju. Nikt nie zajął się poetą Szarkiem, tylko Kraszewski, który go zabrał ze sobą na uroczystości narodowe do Krakowa, ale i tam Szarek doznał zawodu. Nikt nie zajął się Brzegą, Rakiem, Suleją, Nockiem, Kurasiem czy Jantkiem z Bugaja. Tu i ówdzie proboszcz. nauczyciel pożyczył książkę, gazetę czy też wprowadził chłopa samouka w nowy świat, ale to było za mało. Nie mam tyle pretensji do innych, ile do samych chłopów, którzy stali swego czasu na pewnym szczeblu społeczeństwa. Biedny Kuraś, otrzymał za swoje prace uznanie w formie zagrody, jako dar narodowy. Ale sprawą tą zajął się hrabia Tarnowski i sekretarz Kolasiński, nie chłopi oświeceni. Jantek z Bugaja nie miał takich opiekunów i nic nie dostał, borykał się ze swoim losem aż do śmierci. A choć Zegadłowicz zainteresował się nim i obiecał pomoc, to jednak naraził tylko autora na stratę jego cennych rękopisów. A przecież był to okres, kiedy premierem był chłop — Witos, kiedy wśród posłów byli pisarze chłopi jak Bojko Wiącek, działacze jak Stolarski, Średniawski i szereg innych. Zapomnieli o swoich braciach. Po śmierci Rząd dał Kurasiowi order, ale za życia nikt się nie zajął tym chłopem-pisarzem aby jego owocną i tak ofiarną dla Ojczyzny pracę pod zaborem nagrodzić. Żalił się swego czasu Jantek z Bugaja na Bojkę o to, że nie przyszedł mu z pomocą w ciężkiej chwili i żalił się słusznie, bo jako poseł, mógł coś wykołatać w formie zapomogi czy choćby rady.

Gdy swego czasu ogłosiłem pierwszą odezwę do pisarzy chłopów o materiał do Autologii, to prócz szlachecko-mieszczańskiej „Roli" nikt tej odezwy nie zamieścił. Kiedy też już daleko później, bo w wolnej Ojczyźnie, w okresie największego rozwoju stronnictw ludowych i czasopism, ogłosiłem odezwę w sprawie założenia Towarzystwa Literatury Ludowej i choć rozpisałem mnóstwo listów do różnych wielkości, do ludowych gazet, oprócz mieszczańskiej „Twórczości" zamieściła odezwę tylko „Gazeta Grudziądzka" — ale na tę odezwę i listy moje nikt nie odpowiedział. Sprawa utworzenia Towarzystwa Literatów Ludowych poszła poprzez ręce warszawskiej „Twórczości" do wileńskiego „Lirnika" i zatrzymała się w Towarzystwie Mesjanistów w Katowicach. — Ale żadne stronnictwo ludowe, żadna redakcja, żaden klub poselski, których było tyle, nie ruszył konceptem nad tym zagadnieniem. Kiedy zbliżało się 30-lecie pracy pisarskiej Jantka z Bugaja, ówczesny redaktor „Piasta" i Witos, zrobili pewną nadzieją i jakby obietnicę temu chłopu-poecie, że „coś" w tym czasie dla niego zrobią. Chodziło tylko o to, aby ktoś napisał odezwę do „Piasta". Wybór padł na mnie.

W liście swoim z dnia 31.III 1929 roku pisze do mnie Jantek, abym napisał na ten temat i podaje szereg bliższych danych o sobie. Nie zwlekając ani chwili, siadłem do stołu i tego samego wieczoru — do 1-szej po północy pisałem płomienną odezwę i posłałem listem poleconym do redakcji „Piasta". — Odezwa ta nie została wydrukowana. — Zapomniałem o to się upominać i czekałem na zaproszenie od Jantka na uroczystość jubileuszową. Tymczasem w parę dni po Bożym Narodzeniu, a zatem równo za dziesięć miesięcy otrzymałem list w którym dziękując za pamięć i życzenia świąteczne, współczując nad zgonem Kurasia, opisując swoje niedole, przy końcu listu pytą nieśmiało, czy list z marca otrzymałem i czy coś na jego temat napisałem. — Oto jak wyglądała sprawa uczczenia tego chłopa w wolnej Ojczyźnie. Nic dziwnego, że sprawa tak ogólna jak Towarzystwo Literatów Ludowych także nie „chwyciła". Na list mój w tej sprawie skierowany do Bojki otrzymałem odpowiedź z dnia 7.5.47 r. Pisze mi, że „ani jednej prośby, mimo chęci załatwić nie może". Potem literaci ludowi znaleźli się dzięki tylko incjatywie poety Fr. Lipińskiego w Związku „Promienistych" i to na krótki czas, bo znowu zabrakło pieniędzy, opieki i wszystkiego tego, co do życia Towarzystwa potrzebne. Wkońcu widząc, że nasza sprawa i nasze skromne osoby, mają być pionkami w jakiejś rozgrywce polilityczno-osobistej, gdyż i Tow. „Rozwój" chwyciło się tej roboty, zamierzałem szukać innych dróg wyjścia. Pisałem później do „Rolnika Wielkopolskiego" w Poznaniu o tym i miałem wkońcu pewne obietnice na ten temat. Dalszym poczynaniom zaszkodziła wojna, która zburzyła to, co dotąd było z takim trudem sklecone.

Pierwszego zjazdu Pisarzy Ludowych po wojnie nie mogłem oglądać, gdyż byłem wówczas odgrodzony od niego chińskim murem ale w zjeździe w Rytwianach brałem udział i z przyjemnością mogę stwierdzić, że o takim zjeździe nawet nie marzyłem pisząc swoje pierwsze odezwy. Aby na zjazd pisarzy chłopskich przybyli ministrowie, ludzie nauki i działacze stojący na czele organizacji społecznych, o tym nie śniłem.

Aby pisarze chłopscy zostali w przemówieniu Ministra Kultury i Sztuki imiennie wyróżnieni, tego jeszcze nie było. Aby Ministerstwo Kultury i Sztuki uczciło pracę chłopów - pisarzy subwencją państwową — to najlepszy dowód, że chłopski pisarz uważany jest za pełnowartościowego człowieka, choć wskutek braku systematycznej nauki nie mógł stanąć w pierwszym szeregu. Jak doszło od mojej pierwszej myśli zjednoczenia pisarzy chłopskich do zjazdu w Rytwianach — pozwolę sobie napisać obszernie w osobnym szkicu, który myślę, że znajdzie wydawcę choćby w naszym Związku Samopomocy Chłopskiej. — Tego co działo się na tylu drogach krętych, na tylu ścieżkach ciernistych, od wsi Łyśniki poprzez zaułki Warszawy, Wilna, Krakowa, Łodzi, Katowic, nim wyszło na tę sandomierską „drogę przez wieś" do pałacu Samopomocy Chłopskiej w dawnym dworze Radziwiłłów w Rytwianach, pominąć milczeniem nie można. Bo pisarz chłopski to rzecznik chłopskich mas, to nie poseł wybrany z pewnego okręgu na lat kilka, ale to poseł „namaszczony" do reprezentowania tych mas zawsze i wszędzie. Tak być powinno pojęte stanowisko chłopskiego pisarza. Jeszcze nasza grupa pisarska nie ma takiej „marki" jak np. jakieś towarzystwo sportowe — bo to jest naprawdę rzecz nowa. Czułem się dumny w Rytwianach, kiedy znalazłem się w takiej dużej gromadzie. Tam przekonałem się poraz może setny, że „gromada — to wielki człowiek".

Od Redakcji. W związku z ogłoszonym przez nas apelem do naszych Czytelników o przysłanie starych roczników czasopism ludowych, kalendarzy itp. do organizującego się przy redakcji ośrodka badań kultury wsi, wprowadzamy rubrykę pokwitowań z odbioru przesłanych nam pism i książek.

POKWITOWANIE

Maciej Czuła (Brzesko Nowe). Kwitujemy odbiór rocznika „Piasta" z 1915 r.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 133 II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—017791